Drukarnia Monolit z ograniczoną odpowiedzialnością
Warszawa, Elektoralna 3.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

DRUKI OBOWIĄZUJĄCE
Na wezwanie urzędowe, na mocy rozporządzenia Ministrów W. R., O. R. i Spraw Wewnętrznych z dn. 4 lipca 1927 r. (Dz. Ust. № 67 1927 poz. 595)

Kraków

WIR ŚWIATA
tygodniowa rewja prasy

Nr. 13 — CENA 40 gr.
WARSZAWA
15 - VII - 1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

Na okres letnich wywczasów dla wygody naszych prenumeratorów wysyłamy nasze pismo pod każdy wskazany adres.

Prosimy o podanie każdej zmiany do administracji „WIR ŚWIATA", Króla Alberta I Nr. 3, tel. 233-19.

ROZMOWY LONDYŃSKIE

Głosy angielskie

Wspólne ideały cywilizacyjne

Między Francją a Anglją mogą zachodzić różnice zdań, np. co do równości praw, czy nienaruszalności traktatów; lecz mają one wspólne zadanie do spełnienia, mianowicie obronę swoich instytucyj liberalnych. Łączy je wielki ideał: praca dla sprawiedliwości i pokoju. Tak Francja, jak i Anglja stoją na straży tych samych wartości duchowych.

Mówić jednak o sojuszu francusko-angielskim nie ma sensu. Nie ulega wątpliwości, że taki projekt byłby we Francji mile widziany, również w Anglji ma on wielu zwolenników, jednak ani rząd ani opinja publiczna Anglji nie są w tej chwili skłonne do zawierania sojuszów. W obecnej sytuacji europejskiej żaden sojusz nie może być tylko obronny, lecz zmusza do wyraźnego zajęcia stanowiska. Rząd brytyjski uważa, że zobowiązania zaciągnięte w Locarno są więcej niż wystarczające dla bezpieczeństwa. Pan Barthou przybywa więc do Londynu dokładnie poinformowany o poglądach rządu angielskiego. Przybywa on raczej, by wyjaśnić francuskie projekty paktów regjonalnych i może również by poinformować o wyniku swoich podróży po Europie wschodniej i środkowej. Te podróże są może wynikiem tego, że Anglja stale uchylała się od zdecydowanego zajęcia stanowiska w Europie.

Polityka angielska pragnie jednak zachować narazie swój charakter bierności. W obecnej niepewnej sytuacji europejskiej inna droga jest nie do pomyślenia. Większa stanowczość mogłaby może zapobiec wypadkom — lecz i później sposobności ku temu nie zabraknie.

„The Times", Londyn.



Hitlerowskie powitanie i pożegnanie.
„The Daily Herald" Londyn.

Niemcy źródłem niepokoju

Faktem jest, że Niemcy są w wielkiej mierze odpowiedzialne za bankructwo konferencji rozbrojeniowej i za niepokój w Europie. Możemy zbagatelizować bezpośrednie znaczenie podróży Barthou, nie mniej pozostaje pewne, że została ona podjęta w nadziei uśmierzenia niespokojnej i niepewnej atmosfery. Niewątpliwie prawdą jest, że Barthou nie przybywa z propozycją przymierza, wie on bowiem, że Anglja nie jest przygotowana do zawierania sojuszów. Lecz bardziej niebezpieczne niż sojusz z ostatecznemi i określonemi zobowiązaniami, może być wytworzenie nieokreślonych nadziei i zobowiązań honorowych, które nas wciągnęły w ostatnią wojnę.

Anglja jest gotowa wywiązać się ze swoich zobowiązań wynikających z traktatu w Locarno. Lecz interesy angielskie na Zachodzie kończą się nad Renem, na Wschodzie zaczynają się one od wolnego przejścia dla okrętów angielskich w Dardanelach. Pośrodku niema nic coby było warte kości jednego brytyjskiego gwardzisty.

Taką interpretację Anglja jako całość gotowa jest dać wszystkim istniejącym traktatom. Lecz Francja chciałaby, by Anglja poszła dalej, a Niemcy wciąż dążą do równouprawnienia w zbrojeniach, którego na konferencji genewskiej, mimo że były o krok od niego, nie uzyskały spowodu podejrzeń francuskich i własnej brutalności i niecierpliwości. Czy Anglja może pójść dalej? O ile istnieje droga, po której mogłaby zwiększyć własne bezpieczeństwo, zmniejszyć niebezpieczeństwo wojny, rozprószyć obawy francuskie i uwolnić Niemcy od poniżenia, które je przytłacza, może ona i powinna po niej pójść.

„The Sunday Times", Londyn.

Następny numer „Wiru Świata" z datą 31 lipca ukaże się za dwa tygodnie. Postanowiliśmy w okresie letnim i wakacyjnym, kiedy słabnie tętno życia we wszystkich jego przejawach, wydawać nasze pismo do września dwa razy w miesiącu.

Rekompensatą dla czytelników i prenumeratorów będzie zwiększenie objętości pisma do 16 stronic.

Ten okres większych przerw między numerami „Wiru Świata" wyzyskamy dla usprawnienia naszego pisma i naszego aparatu informacyjnego, tak, aby na jesieni móc przystąpić do regularnego wydawania „Wiru Świata" co tydzień, ale „Wiru Świata" lepszego, ciekawszego i pełniejszego.

Głosy francuskie

Konieczność współpracy

Francja i Anglja reprezentują nietknięte jeszcze siły cywilizacji liberalnej, która ukształtowała świat dzisiejszy; mają one ogromnie poważny interes wspólny, mianowicie, bezpieczeństwo na Zachodzie, od tego zależy ich własne bezpieczeństwo i wszelka rozsądna polityka pokojowa. Z logiki rzeczy wynika, że ich mężowie stanu muszą między sobą wymieniać zdania, i wzajemnie informować i porozumiewać się w sprawie zagadnień chwili bieżącej, aby akcja obu rządów mogła się potem w zupełnej niezależności rozwijać w kierunku utrwalenia pokoju. Serdeczna i pewna współpraca francusko-brytyjska jest koniecznością zasadniczą dla Europy. Podróż P. Ludwika Barthou do Londynu nie ma innego celu, jak wzmocnienie tej współpracy na tych podstawach, na których ona dotychczas istniała

„Le Temps", Paryż.

Ostrożność

Tylko wypadki potrafią wyrwać naród angielski z jego izolacji i bierności i zmusić go do zastanowienia się nad tem, że jego los jest związany z temi narodami, które się pangermanizmowi przeciwstawiają. Do głosu wypadków nie mieszajmy naszego. My moglibyśmy tylko ich głos osłabić. Nie starajmy się nawet uzyskać zapewnienia współpracy dobrowolnej. Narażamy się, że musielibyśmy za to zapłacić temi paktami wzajemnej pomocy do przyjęcia, których staramy się nakłonić wszystkie narody zainteresowane w utrzymaniu pokoju. Naszem jedynem życzeniem jest, by Anglja przestała być przeszkodą polityki defensywnej, której ciężarów ona ze swojej strony przyjąć nie chce.

Pertinax,
„Echo de Paris", Paryż.

Zresztą jeżeli Anglicy nie lubią podpisywać obietnic, to czy my wiele uwagi przywiązujemy do naszych? W tych dniach przymierze z Rosją znajduje się w stadjum odnowienia. Opinja publiczna Francji, chciałaby się dowiedzieć, czy ta kombinacja nie wciągnie nas w konflikt na Dalekim Wschodzie? A cobyśmy powiedzieli, gdyby rząd brytyjski, na przykład, zawarował sobie w formalnym traktacie, że Francja ma mu pomagać w utrzymywaniu Indyj przy imperjum angielskiem? Nam również, tak samo jak innym, nie śpieszy się do podpisywania czeków in blanco.

„La Liberte", Paryż.

Anglja lepsza od Rosji

Francja uważa Anglję za o wiele bardziej pożądanego sprzymierzeńca niż Rosję. Jeżeli zapewni się jej poparcie Anglji i to w sposób niedwuznaczny, porzuci ona jeszcze przymierze z Rosją. Izolować Rosję, porozumieć się z Japonją, zawrzeć z Belgją i Francją sojusz wojskowy, który stworzy wał nie do przebicia przeciwko Niemcom i zmusi je do zwrócenia swojej ekspansji na wschód, oto cele, które w danej chwili przynajmniej przeważają w gabinecie Wielkiej Brytanji.

„New Statesman and Nation", Londyn.

Głos niemiecki

Gra na dwóch fortepianach

Francja stara się grać na dwóch fortepianach. Pod płaszczykiem paktów przyjaźni dąży ona do sojuszów wojskowych. Od ustanowienia Ligi Narodów Francja opierała swoje bezpieczeństwo na takich sojuszach. Obecnie kontynuuje ona tę samą politykę, np. z Rosją Sowiecką, i tym razem jest ona owinięta w bawełnę paktu wzajemnej pomocy. Nabyła ona wprawy w tej podwójnej grze, ale bynajmniej nie nauczyła się niczego. Anglja ma teraz w swoich rękach los Europy na przyszłość. Od niej zależy, czy polityka oparta na czysto wojskowej przewadze weźmie górę, czy też będzie położony kres temu niebezpiecznemu zaostrzeniu stosunków, jakie coraz bardziej Europie zagraża. Tylko Anglja mogłaby tego dokonać. Wiemy jednak, że Imperial Defense Council już dwa miesiące temu stanęło po stronie Francji. Potem nastąpiły podróże sztabów generalnych, a potem oficjalne zaprzeczenia, które można było i we śnie układać, tak były one pozbawione treści. Nie spodziewamy się ze strony Londynu konwencji wojskowej z Francją, lecz uważamy za możliwe, że Barthou odniesie wrażenie, że Francja ma w Europie wolne ręce. To wystarcza dla wszelkiego rodzaju rozwoju wypadków, nawet najgorszego, dla każdego, nie wyłączając Anglji.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

Głos włoski

Chodzi o Rosję

By sobie zdać sprawę z tego, w jakiej atmosferze odbędzie się podróż Barthou do Londynu, trzeba sobie przypomnieć rozgłos, jaki zdobyła sobie w swoim czasie akcja Litwinowa w Genewie, po której zarysowały się pierwsze kontury przymierza francusko-rosyjskiego. To nagłe pojawienie się Rosji w grze bloków europejskich spowodowało incydenty genewskie między Barthou a Simonem, a potem między Barthou a Hendersonem.

Francuzi sami są zaniepokojeni złym humorem anglików spowodu tego zbliżenia francusko-rosyjskiego. I „Temps", który dziś gra „andante mosso" Quai d'Orsay zapewnia, że Barthou rozpatrzy razem z angielskimi mężami stanu zagadnienia paktów regjonalnych i paktów wzajemnej pomocy, w których cele pokojowe pewne koła angielskie wciąż jeszcze wątpią.

Rosja więc jest tym najważniejszym odczynnikiem w stosunkach francusko-angielskich.

„Popolo d'Italia", Medjolan.

Echa krwawej soboty w Monachjum i Berlinie

Błędy i pomyłki v. Schleichera

Przez dwa miesiące zaledwie był kanclerzem. Myślał, że wszystko można będzie zorganizować na sposób wojskowy. Pragnął stworzyć jeden wielki front związków zawodowych, od Strassera do Leiparta i nazywał siebie „społecznym generałem".

Nazi, dla których knowania z odszczepieńcem ich patrji, Grzegorzem Strasserem, grożą niebezpieczeństwem, zrywają z generałem wszelkie stosunki. Oskar (syn Hindenburga) ostrzega, albowiem dziedzice, sąsiedzi tego arcydziedzica, (Patrz „Wir Świata", Nr. 11. „Dwaj Hindenburgowie") nie dają mu spokoju — Schleicher jest bolszewikiem agrarnym. Rewelacje na temat skandalów w Osthilfe mają zamknąć pyski junkrów z nad Łaby

Oskar jest jednak mądrzejszy. widzi on niebezpieczeństwo dla domu Hindenburgów. Przed delegacją Landbundu Prezydent dezawuuje kanclerza. Schleicher jeszcze się nie poddaje, jeszcze generalicja Reichswehry stoi za nim. Jednak Hindenburg ma już dosyć Schleichera. Dyktatura wojskowa? Za późno! Nadeszła noc, w której trzecia Rzesza została postanowiona.

Ze swoją młodą małżonką Schleicher wycofuje się do swojej willi w Neubabelsberg. Na twórczy wypoczynek, mówiło i spodziewało się wielu. W kierownictwie armji pozostawił niezłomnie wiernego i oddanego przyjaciela, generała Hammersteina. Armji, tego instrumentu, nad którym on przez czternaście lat pracował, nie można mu z ręki wyrwać. Wobec nowego regime'u zachowuje się lojalnie, nie konspiruje, czeka. Brunatni władcy boją się go jak zarazy, ale nie ważą się go ruszyć spowodu jego wpływów w Reichswehrze. Jednak jest on jeńcem, stale pod okiem szpiclów

Przychodzą jednak niepodejrzani goście do domu Schleichera, którzy wynoszą to, co mogłoby być pożyteczne dla przyszłości Schleichera. Klika generalska stoi niezłomnie po jego stronie. Własne błędy nauczyły go wielu rzeczy: ostrożnie naprzód, nie szturmować. Snuje się nici na wszystkie strony.

Jest monarchistą i chętnieby widział blask Hohenzollernów; jest konserwatystą i chętnie paktowałby z temi siłami, które już dawno Hitlera znowu mają w swojej mocy. Czuje jednak, że właśnie ta okoliczność łurzy naszroje mas, i że naród jest rozczarowany i zrozpaczony. Naturalnie nie zerwał on nigdy kontaktu z brunatnymi; Roehm może w każdej chwili dostać się do niego.

Czy szef sztabu S. A. przekonał go, że szanse leżą po stronie lewicy? Schleicher liczy pięćdziesiąt dwa lata, ale w jego mózgu wciąż jeszcze jest miejsce na romantyczne fantazje. Marzy on o „cesarstwie ludowem" społecznem i konserwatywnem, opartem na S. A. W każdym razie zamierza on dotrzymać paktu z S. A. tylko wtedy, o ile Reichswehra również ruszy, a z nią jest on przecież złączony tysiącznemi węzłami. W każdą stronę patrzy on obiecującemi oczyma; aż do ostatniej chwili, kiedy je już na wieki zamknął, nikt nie wiedział, dokąd właściwie zmierzała droga życiowa tego człowieka.

„Die Neue Weltbühne" Zurych.

Nowoczesny Neron

W kołach watykańskich twierdzą spowodu napływających z Niemiec wiadomość o rzekomych samobójstwach wybitnych katolików, że jest rzeczą niemożliwą przypuścić, aby wierni katolicy mogli tak zapomnieć o przykazaniach Bożych i popaść w tak ciężki grzech, jakiem jest samobójstwo.

Wysokopostawiony członek Actio Catholica, który zajmuje także i w Watykanie wysokie stanowisko, tak się wypowiada do korespondenta „Az Estu":

Z wielkim bólem i głębokim smutkiem patrzymy na to, jak ludzie, a szczególnie synowie jednego narodu mordują się wzajemnie masowo. Jest rzeczą obojętną, kto został zamordowany. Winni powinni ponieść karę, tak, to prawda. Ale musi im być dana przynajmniej możliwość obrony. Nie wolno, aby ludzie byli masowo rozstrzeliwani. Nawet podczas francuskiej rewolucji dawano skazanym chociażby pozory możności obrony. Nie wolno było tej obrony odmówić tym, których poglądy są djametralnie różne od naszych, wymordowanym kierownikom narodowo-socjalistycznym.

Co się zaś tyczy naszych niewinnie pomordowanych braci, to postępowanie z nimi budzi jeszcze większe oburzenie W niczem oni nie zawinili, a jednak musieli umrzeć. Zaliczyć ich więc trzeba do szeregów męczenników.

Nas jednak nic nie powstrzyma na naszej drodze. Nasi misjonarze nie boją się ludożerców, więc tembardziej nie będą się lękali brunatnych koszul.

Pucz Roehma i związane z nim wypadki Watykan uważa za charakterystyczne dla dzisiejszych Niemiec. Wstrętne bagno, które wyłania się z mów urzędowych i artykułów prasy niemieckiej, pokazuje najlepiej, jacy ludzie kierują tym nieszczęśliwym narodem.

Nie chodzi tu o sprawę katolicką, lecz o sprawę całego chrześcijaństwa.

Watykan nie jest odosobniony w proteście; łączą się z nami wszyscy, czy spoglądają na Rzym, czy nie, którzy głoszą imię Chrystusa. Front ten liczy kilkaset miljonów ludzi, i żaden nowoczesny Neron nie przerwie go.

„Az Est", Budapeszt.



Defilada chłopców ze szturmówek. *„Gringoire" Paryż.*

Hitler i Blomberg — dwaj przyjaciele

By móc sądzić o nastrojach Reichswehry należy sobie przypomnieć, że generał Blomberg cieszy się pełnem zaufaniem Hitlera, i że odwzajemnia mu się za nie bezwzględnem oddaniem.

— Blomberg, jeżeli pan mnie porzuci, powiesz się — powiedział Hitler do szefa Reichswehry w pierwszych dniach ich współpracy, a na to Blomberg odpowiedział:

— Panie kanclerzu, wówczas znalezionoby mego trupa wiszącego przy panskim.

Ta wymiana grzeczności rzuca odpowiednie światło na wypadki z 30.VI.

Z drugiej strony, czy zwrócono należytą uwagę na artykuł Blomberga w oficjalnym organie partji „Voelkischer Beobachter"? Znajdujemy tam między innemi takie oświadczenia:

— Duch pretorjanizmu nie odpowiada umysłowości naszego żołnierza. Nie jest on „landsknechtem", sprzedającym swoją krew temu, który więcej zapłaci. Akt wyzwolenia dokonany przez Adolfa Hitlera, Führera, powołanego przez prezydenta Rzeszy na szefa państwa, z miejsca rozwiał tę nienaturalną atmosferę intryg i półśrodków. Ten akt przywrócił żołnierzowi wyraźne stanowisko i dostojne prawo należenia do obrońców odnowionego narodu. Minęły te czasy, kiedy różne „zainteresowane" środowiska mogły formułować prognostyki na temat „sfinksa-Reichswehry".

„L'Information", Paryż.

Polska dyplomacja zagadką dla Europy

Litwa kluczem do tej zagadki

Nieprzebaczalnem przestępstwem dyplomaty jest przyznanie się, że o czemś nie wie. A jednak, w obecnej chwili istnieje w Europie zagadka polityczna, o której różne ministerstwa zagraniczne otwarcie się przyznają, że nie mogą jej rozwiązać. Rzekomą tą tajemnicą mają być motywy, ukrywające się za polityką zagraniczną Rządu Polskiego. A przecież rozwiązanie tej zagadki łatwo może być znalezione.

Odkąd premjer angielski MacDonald wpadł na niefortunny pomysł poparcia propozycji paktu czterech wielkich mocarstw, Polska zaczęła prowadzić politykę samodzielną i niezależną. Pomijając fakt, że dzięki tej polityce udało się Rządowi Polskiemu sparaliżować zamiar utworzenia w Europie rodzaju hegemonji dla grupy angielsko-francusko-niemiecko-włoskiej, bardzo ważną okolicznością jest to, że od tego czasu Polska przy każdej okazji żąda uznania dla siebie miejsca wśród wielkich mocarstw w Europie. Od tej chwili Polska nie polega więcej na pomocy innych mocarstw, lecz głównie na własnych swoich siłach, z których pragnie uczynić jaknajlepszy dla siebie użytek.

W praktyce ta polityka może być wyrażona w formule: „Bądź silny i żyj w zgodzie z sąsiadami". Nie należy bowiem zapominać, że za polityką Marszałka Piłsudskiego zawsze stał najwyższy argument siły armji, którą z takim trudem do życia powołał. Silna armja polska pobudziła Hitlera do zawarcia ugody z Polską, w której Niemcy zrzekają się swoich pretensyj do tak zwanego korytarza polskiego.

Również z Moskwą Marszałek Piłsudski ustalił stosunki poprawne, oparte nie na sentymentach, lecz na wzajemnym szacunku dla sił drugiej strony. W ten sposób pomiędzy dwoma wielkimi wrogami, Niemcami hitlerowskiemi i Rosją Sowiecką, znajduje się Polska, będąca w dobrych stosunkach z obydwoma wrogami i niezależna od żadnego z nich. W Genewie delegacja polska idzie również po własnej niezależnej linji. Polska nie wyrzeka się przymierza z Francją, ale nie można powiedzieć, że polityka polska podporządkowana jest wskazówkom Francji.

Dyplomaci to wszystko widzą, a jednak mają jeszcze wątpliwości co do istotnego celu polityki polskiej.

Sądzę jednak, że prawda nie jest tak trudna do wykrycia, jak oni sobie wyobrażają. Jest ona zawarta w słowie Litwa. Marszałek Piłsudski nie będzie uważał swego dzieła odbudowy Polski za zakończone tak długo, dopóki stosunki między Polską a Litwą nie będą normalne. W dawnych czasach wielkość Polski datuje od chwili, kiedy oba kraje zaczęły ze sobą współpracować. Ścisłe przymierze z Litwą w przyszłości jest pewną gwarancją stanowiska Polski w nowej Europie. Ci, co mają oczy, nie mogą nie widzieć, że najgorętszem życzeniem Marszałka jest przymierze z Litwą.

W ciągu piętnastu lat Litwini opierali się idei jakiejkolwiek bądź przymierza z Polską. Ale siła tego oporu sama już wystarczy, żeby wykazać, iż rzecz sama jest możliwa. W ciągu piętnastu lat Niemcy i Rosja popierały Litwę, obecnie jednak hitlerowcy przez swoją ugodę z Polską nietylko porzucili niemieckie pretensje do tak zwanego korytarza, lecz również wycofali się ze swego stanowiska popierania pretensyj litewskich. W dodatku popełnili oni ten błąd, że przygotowali regularny zamach na Kłajpedę, jedyne ujście, jakie Litwa posiada do Morza Bałtyckiego.

Litwa izolowana

Rosja, w chwili wznowienia swego paktu o nieagresji z Polską, ostatecznie zrzekła się wszelkiej pomocy czynnej dla Litwy w jej pretensjach do Wilna. W ten sposób Litwa znalazła się w odosobnieniu, i konieczność porozumienia się z Polską jest oczywista nawet dla zaślepionych nacjonalistów.

Porozumienie to nastąpiłoby, rzecz jasna, o wiele szybciej, gdyby politycy w Kownie, stolicy litewskiej, nie obawiali się tej bandy zelotów, którą tolerowali i popierali w ciągu ostatnich piętnastu lat. Zdaje się, że obecnie nastąpił ten wielki moment, upragniony przez Marszałka Piłsudskiego. Mam wrażenie, że niebawem wyciągnie on przyjacielską dłoń do małego sąsiada, a warunki jego będą najlżejsze. Jak Szkoci w Anglji, Litwini zawsze najlepiej wychodzili na tranzakcjach z Polakami.

Jest to zdaje się najlepsze rozwiązanie zagadki, nad którą łamią sobie głowy europejscy dyplomaci. Najwięcej jednak interesuje mnie, co ma się stać później. Porozumienie z Litwinami jest zupełnie czemś innem, dla Polaków, niż ugoda z Berlinem lub Moskwą. Narzuciłoby trwałe zobowiązania, które często nie dadzą się pogodzić z przyjaźnią względem innych państw.

Tak naprz. żadne porozumienie między Polską a Litwą nie byłoby możliwe bez zobowiązania Polski do bronienia wszelkiemi siłami i środkami suwerenności jej sojusznika w Kłajpedzie. Takie stanowisko byłoby przeciwne agresywnym planom hitlerowskim. Marszałek Piłsudski jest zbyt mądry, aby nie brał pod uwagę konsekwencyj wspólnego frontu Polski i Litwy. Już raz, w roku 1410, front taki doprowadził do wspólnej i potężnej akcji przeciw agresywności Germanów. Sławna bitwa pod Grunwaldem, w której rycerze teutońscy ponieśli klęskę dzięki wspólnemu wysiłkowi Polaków i Litwinów — przy pomocy Rosjan — miała głównie na celu zapobiec ekspansji wpływów germańskich na Litwę. Czy historja się powtórzy? I jak? To właśnie chcielibyśmy wiedzieć.

Augur,
„The New York Times", Nowy Jork.

Szybki rozwój lotnictwa wojskowego zmusza narody do zrewidowania strategji lotniczej

W wyścigu zbrojeń główna uwaga jest obecnie przedewszystkiem ześrodkowana na metodach ataku i obrony w powietrzu.

Niemcy są widocznie zdecydowane rozbudować swoje napowietrzne siły zbrojne, nie bacząc na to, że traktat wersalski im tego odmawia. Anglja oświadczyła, że wybuduje duje ona flotę napowietrzną, której żadna inna dorównać by nie mogła. A są pogłoski, że ta budowa jest już w toku.

Włochy dokonały eksperymentów z nową formą broni napowietrznej. Francja posiada liczebnie, najpotężniejszą flotę napowietrzną na całej kuli ziemskiej. Jest ona zdecydowana utrzymywać ją nadal na najwyższym poziomie. W Rosji, Japonji, Stanach Zjednoczonych — na całym świecie — wyścig w rozwoju lotnictwa staje się coraz bardziej zawzięty.

Aeroplan bojowy przechodzi szybką metamorfozę. Nie ulega wątpliwości, że jego siła niszczycielska będzie w ogromnym stopniu powiększona. Rozwój techniki w ciągu ostatnich kilku lat, zadziwiający wzrost szybkości wielkich samolotów, przeznaczonych do zrzucania bomb, szybkość osiągnięta przez aeroplany pościgowe i atakujące — ciągle zmieniają pojęcie o tem, jak będą użyte aeroplany w najbliższej wojnie.

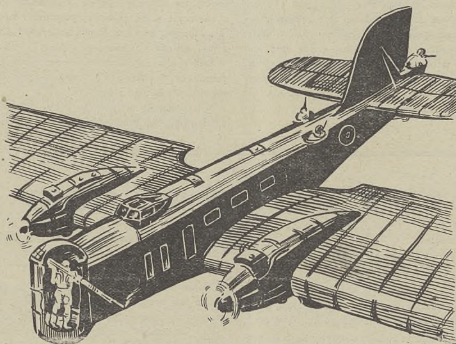
Jakiekolwiek byłyby różnice poglądów na rolę lotnictwa w przyszłej wojnie, w jednem wszyscy są zgodni, mianowicie, że posiadają nieocenioną wartość bojową.

Siły napowietrzne świata

Pomimo, że narody pragną doprowadzić swoje lotnictwo do największej sprawności, to prawie wszystkie floty powietrzne (włącznie ze Stanami Zjednoczonemi, z wyjątkiem tylko Rosji Sowieckiej), składają się w dużej mierze z maszyn już przestarzałych. Ten stan rzeczy rozpoczęcia się rywalizacji napowietrznej, zmusi narody w ciągu krótkiego czasu do przebudowania nanowo floty napowietrznej. Anglja gotowa już jest to uczynić.

Tendencja do powiększenia wydatków na lotnictwo wojskowe zaznaczyła się tuż po wojnie światowej, skoro tylko będąca wówczas w użyciu flota napowietrzna okazała się przestarzałą. Budżety stale się rozszerzały, lecz olbrzymie te sumy wydawane na budowę najrozmaitszych typów aeroplanów okazały się zmarnowanemi bezużytecznie.

Technicy i strategówie zgodnie wskazują na to, że kraj, posiadający flotę złożoną z różnych typów aeroplanów o większej i mniejszej szybkości, starych i nowych, będzie bezsilny i bezradny wobec nieprzyjaciela, rozporządzającego nowoczesną flotą napowietrzną, składającą się z aeroplanów jednego, udoskonalonego typu do ataków i rzucania bomb.



Wiadomo, że żadna flota morska nie może być szybszą od najbardziej powolnej jej jednostki. Ten sam aksjomat dotyczy również floty napowietrznej tak w ataku, jak i w obronie.

Szybkie przestarzanie się

Aeroplany szybciej tracą swoją wartość użytkową, niż flota morska wskutek szybkiego rozwoju udoskonaleń technicznych w tej dziedzinie. Tak np. szybkość aeroplanu bombowego w ciągu 5 lat wzrosła ze 100 mil angielskich do 200 mil na godzinę, zaś szybkość aeroplanu pościgowego — ze 175 do 250 i więcej. A mimo to, większa część sił napowietrznych we wszystkich krajach składa się ze starych mniej szybkich samolotów, które są śmiesznie nieudolne w porównaniu z nowemi typami. Tu tkwi największa podnieta do wyścigu zbrojeń w powietrzu.

Bardzo ciekawe pod tym względem jest następujące zestawienie wydatków na budowę floty napowietrznej w 4 krajach:

	Anglja	Stany Zj.	Franc.	Włochy
	(liczby oznaczają miljony dol.)			
1924	70	25	16	24
1925	75	30	16	28
1926	74	32	15	36
1927	75	41	28	33
1928	78	58	31	32
1929	78	64	37	37
1932	99	109	84	50

W obecnej chwili W. Brytanja posiada przypuszczalnie 2072 aeroplany czynne i 700 zapasowych, Francja — 2680 czynnych i 2300 w rezerwie, Włochy 1800 czynnych i 200 zapasowych, Japonja zaś 2000 czynnych i 255 zapasowych. Japonja rozbudowuje w szybkiem tempie swoje lotnictwo w związku z rosnącem naprężeniem stosunków z Rosją. To samo czyni Rosja, która — jak twierdzą niektórzy znawcy — posiada obecnie największą flotę napowietrzną po Francji. Rosja główną uwagę zwraca na aeroplany dużego rozmiaru, służące do rzucania bomb i zdolne do przenoszenia wielkich ciężarów na długie przestrzenie, podczas gdy Japonja, nie zaniedbując samolotów bombowych, główne swoje wysiłki ześrodkowuje na budowie bojowych aeroplanów małego typu dla ochrony swoich miast przed bombardowaniem.

Nowe szybkie samoloty bombowe

Rozwój nowych szybkich aeroplanów do rzucania bomb może radykalnie zmienić warunki prowadzenia wojny w powietrzu. Dotychczas panuje jeszcze pogląd na aeroplan, jako narzędzie odwetu, mające na celu przenikanie na tyły armji przeciwnika i szerzenie paniki wśród ludności cywilnej przez niszczenie osiedli.

Ostatnio czynione były próby uzbrajania wielkich aeroplanów w armaty 37-milimetrowe, jak również w kulomioty, tworząc w ten sposób rodzaj latających fortec. Anglja zmontowała takie 37-milimetrówki na niektórych z jej wielkich hydroplanów. Stany Zjednoczone zmontowały 2 takie armaty na aeroplanach, które uważane są za największe w świecie, posiadają załogę z 10 osób i zasięg do 1500 mil angielskich. Z połączenia tych olbrzymich statków napowietrznych może powstać prawdziwa bojowa flota napowietrzna.

Przed kilku laty jeden z największych w świecie strategów lotnictwa we Włoszech generał Gulio Douhet naszkicował obraz przyszłej wojny w powietrzu. Według tego planu państwo atakujące rozporządza flotą napowietrzną, składającą się z 1500 olbrzymich aeroplanów bombowych, z których każdy może zabrać od 2 do 8 tonn bomb, zależnie od wielkości aeroplanu. Cała ta flota ma być użyta jednocześnie, ustawiona w kolumny, podzielone na pewną ilość grup. Cała ta masa aeroplanów, zaopatrzonych w maksymalną ilość największych armat napowietrznych i ładunki bomb ma na samym początku wojny zaatakować nieprzyjaciela i sparaliżować odrazu jego siłę, nie zważając na nieuniknione wielkie straty, jakie mogą jej przytem wyrządzić aeroplany nieprzyjacielskie lekkiego typu atakującego.

Szkic nakreślony przez Douheta wskazuje kierunek, w jakim pracuje myśl strategów napowietrznych.

Narzędzia wojny napowietrznej rozwijają się z większą szybkością, niż zdolności człowieka do obrony przeciw tym siłom niszczycielskim.

„Times Magazine", Nowy Jork.

Rok pracy AAA

Jak Stany Zjednoczone walczą z kryzysem w rolnictwie?

AAA to skrót nazwy angielskiej, oznaczającej kierownictwo wprowadzonej w Stanach Zjednoczonych gospodarki planowej w dziedzinie rolnictwa.

Zaledwie rok jeden upłynął od chwili wprowadzenia w życie ustawy o planowej gospodarce rolnej. Osiągnięte skutki oraz przyszłość tej gospodarki są usilnie dyskutowane w Waszyngtonie. Głównym punktem spornym jest propozycja rozszerzenia pełnomocnictw kierownictwa tego planu. W poniższym artykule znajdujemy sprawozdanie z rocznej działalności AAA, przegląd niektórych najbliższych zagadnień, oraz omówienie widoku na przyszłość tego nowego planu gospodarczego. Artykuł jest napisany przez osobę powołaną do zrealizowania tej gigantycznej operacji.

Zakończony właśnie pierwszy rok działalności AAA w Stanach Zjednoczonych jest początkiem na większego wysiłku kolektywnego, jaki kiedykolwiek podjęty został przez farmerów.

3.000.000 farmerów w 48 stanach, zorganizowanych w stowarzyszeniach dla kontroli produkcji, podpisało umowy, mające na celu uregulowanie ich produkcji i zwiększenie ich dochodów. Umowy te dotyczą 4 największych wywozowych produktów rolnych — pszenicy, bawełny, kukurydzy i tytoniu.

Eksperyment ten, chociaż niedokończony, oznacza początek zakrojonego na wielką skalę przejścia od czysto indywidualistycznej gospodarki rolnej, do planowej gospodarki.

ROK UZDROWIENIA

Już pierwszy rok działalności AAA zaznaczył się poważną poprawą stanu ekonomicznego rolnictwa w Stanach Zjednoczonych. To częściowe uzdrowienie stosunków ma różne przyczyny, z których w pierwszym rzędzie należy wymienić lepsze dostosowanie podaży do popytu. Wpływy gotówkowe powiększono dzięki lepszym cenom w związku z uregulowaniem produkcji oraz dzięki polityce monetarnej prezydenta Roosevelta i powiększonej sile nabywczej ludności miejskiej, wskutek energicznych zarządzeń rządowych w celu zredukowania bezrobocia.

Oprócz większych dochodów spowodu lepszych cen, rolnicy otrzymali również blisko dol. 250.000.000 w postaci zasiłków, bonifikat tenuty dzierżawnej i odszkodowań, wypłacanych im z uwagi na ich udział w wyrównaniu produkcji.

Zasiłki czerpane są z umyślnego podatku od poszczególnych stopni produkcji, a nie z funduszów społecznych. Powiększona siła nabywcza producentów bawełny, pszenicy, tytoniu i innych produktów rolnych miała wielki wpływ na poprawę przemysłu i handlu w całym kraju. Naogół wynik programu był taki, jaki przewidywano. Zrobiono dobry początek.

Zrzeszenie 3.000.000 farmerów w olbrzymiej organizacji, mającej na celu kontrolę produkcji na tak szeroką skalę, jest niebywałem zdarzeniem o znaczeniu historycznem. Moment dramatyczny tego zdarzenia powiększa jeszcze ten fakt, że eksperyment planowej gospodarki rolnej zbiega się z niebywałą katastrofą żywiołową — posuchą o tak wielkim zasięgu i takiej sile, że podobnej rolnictwo Stanów Zjednoczonych nie pamięta.

KLĘSKI ŻYWIOŁOWE

Co rok rolnicy Stanów Zjednoczonych nawiedzani są przez różne nieszczęścia żywiołowe, jak posucha, grad, powodzie lub epidemje, które niszczą ich zbiory. Corocznie farmerzy z tych, nawiedzanych przez różne plagi obszarów, wołają o zorganizowanie jakiejś akcji społecznej w celu uchronienia ich przed ślepemi, niszczycielskiemi siłami natury.

Rzecznicy farmerów niejednokrotnie wskazywali na to, że z punktu widzenia zdrowego rozsądku, humanitaryzmu i bezpieczeństwa narodowego jest rzeczą nieodzowną zabezpieczyć farmerom pewną ciągłość dochodów wobec strat ze zbiorów, spowodowanych nie z winy samego rolnika. Rzecznicy rolnictwa mieli przytem na względzie przedewszystkiem wzajemne ubezpieczenie dochodów z plonów na szeroką skalę.

Była to jedna z potrzeb, której zaspokojenie ustawa o planowej gospodarce rolnej miała na celu. Plan ten będzie przeprowadzony w roku bieżącym w stosunku do setek tysięcy farmerów w stanach, nawiedzonych przez posuchę, tych, którzy podpisali umowy o kontroli produkcji. Zgodnie z planem planowej gospodarki rolnej opracowanym przez M. L. Willsona i wprowadzonym w życie według programu AAA rozwinięta została w ciągu pierwszego roku największa akcja ubezpieczeniowa dochodów ze zbiorów, jaka kiedykolwiek podjęta była na kuli ziemskiej. Akcja ta dotyczy w pierwszym rzędzie wspomnianych wyżej 4 podstawowych produktów rolnych.

Jak wielkie jest znaczenie tego rodzaju ubezpieczenia dochodów ze zbiorów widać z faktu, że farmerzy w Południowej Dakocie, nawiedzeni w ostatnim roku przez posuchę, uzyskali tytułem zasiłków kwoty gotówkowe, wielokrotnie przekraczające wartość sprzedażną ich nikłych zbiorów pszenicy.


Zbiór bawełny.

PRZESYCONY RYNEK ŚWIATOWY

Sytuacja na rynku światowym w ciągu ostatnich 14 lat wysunęła z niezwykłą jaskrawością konieczność planowej gospodarki rolnej, dostosowania produkcji do zapotrzebowań oraz ubezpieczenia dochodów z rolnictwa.

Handlarzom zbożem, którzy otrzymują większe prowizje, kiedy nadprodukcja zabija ceny, i spekulantom, którzy zagarniają zyski wtedy, kiedy posucha podbija ceny, może nie zależeć na tem, ażeby rolnicy wprowadzili gospodarkę planowa. Wątpię jednak, ażeby rolnicy naszego kraju, którzy doznali dobrodziejstwa planowej gospodarki, zechcieli jeszcze powrócić do indywidualistycznej gospodarki wzajemnie pożerających się jednostek, jak tego sobie życzą ci opływający w dostatki panowie.

Głównym celem planowej gospodarki rolnej jest utrzymywanie w latach dobrych jak i złych, najlepszej równowagi między produkcją a faktycznem zapotrzebowaniem na produkty rolne, aby stopniowo wyrównać wartość wymienną produktów rolnych.

Nie należy się obawiać, że z tego wyniknie zmniejszenie się produkcji — raczej przeciwnie, taka gospodarka planowa może wpłynąć zachęcająco na wzrost produkcji — gdyż ostatnie dwanaście lat przekonały każdego, że największą przeszkodą dla rolnictwa było nagromadzenie nadprodukcji podstawowych produktów rolnych.

Plan uregulowania produkcji kładzie szczególny nacisk na przejście od produkcji, gdzie panuje nadmiar, do innych produktów, dopóki Stany Zjednoczone nie odzyskają spowrotem utraconych rynków wywozowych. Takie przejście będzie musiało się dokonać pod naciskiem niskich cen, o ile tego przymusu nie zastąpi gospodarka planowa. Wprowadzenie zasiłków kompensacyjnych dla farmerów za udział w wyrównaniu produkcji w stosunku do potrzeb ulatwi to przejście bez wstrząsów ekonomicznych i wielkich strat indywidualnych, jak również związanych z temi stratami ujemnych konsekwencyj dla handlu i przemysłu.

TERENY WYJĘTE Z POD UPRAWY

Stałe wyłączenie terenów spod uprawy produktów rolnych będzie częścią obliczonego na dłuższą metę wysiłku, który ma się dokonać. 25.000.000 dolarów już zostało wyasygnowanych na sfinansowanie początku tego planu.

Plan ten ma na celu użytkowanie i konserwację gruntów. Obszary, które obecnie cierpią spowodu nadprodukcji, mogą być stopniowo zwolnione z tych produktów i zużyte na lasy, parki, boiska i jako grunty zapasowe. Bogactwa wodne i leśne będą mogły w ten sposób być zachowane. Nadmiar wilgoci, który niszczył wydajność naszej ziemi tak gruntownie, jak w Dolinie Żółtej Rzeki w Chinach, może być w ten sposób usunięty.

Wszystkie te środki przyczynią się nietylko do lepszego rozwoju rolnictwa i do ulżenia nędzy ludzkiej, lecz również do powiększenia dobrobytu w całym kraju. Dobra gleba jest podstawą, na której zbudowany jest ten dobrobyt. Ostatnie huragany w sposób dramatyczny przypomniały nam niebezpieczeństwo, na które wystawione są bogactwa naszej ziemi, niebezpieczeństwo, które sami spowodowaliśmy przez długoletnie, zasługujące na potępienie niedbalstwo.

LICZNE PROBLEMY SPOŁECZNE

Pierwszy rok działalności AAA wysunął na porządek dzienny całą masę zagadnień. Gdybyśmy pracowali jak dotychczas, to byśmy nigdy nie byli w stanie posunąć się tak szybko, aby dotrzymywać kroku potrzebom rolnictwa. Dla setek tysięcy rolników idea organizowania zrzeszeń dla kontroli produkcji była zupełnie nowa, a doświadczenie współpracy kolektywnej z sąsiadami w rozwiązywaniu zagadnień produkcji dotychczas zgoła nie istniało.

Powstała znaczna liczba wypadków osobistego niezadowolenia, co jest oczywiście rzeczą nieuniknioną, kiedy w programie rocznym przewidziane są miljony posunięć wyrównawczych. Opóźnienie w otrzymywaniu czeków i liczne braki w technice administracyjnej wywoływały dużo niezadowolenia u farmerów.

Nie jest zamiarem AAA narzucić jakiś program rolnictwu. Zanim podejmuje się wprowadzenia w życie jakiegoś programu, należy się przekonać, czy większość farmerów pragnie go.

Trudności te są jednak nikłe, jeżeli zestawić je z sukcesem, jakim przedstawia sobą zrzeszenie 3.000.000 farmerów w spontanicznym ataku na podstawowe problemy produkcji rolnej. Ostateczny rozwój jednak będzie zależał od dobrej woli samych farmerów. Z biegiem czasu będą dokonywane liczne zmiany i udoskonalenia. Nie sądzę jednak, aby raz zrozumiawszy podstawowe zasady gospodarki planowej, farmerzy zechcieli kiedykolwiek wyrzec się płynących z niej korzyści i powrócić do starych, dobrych czasów gospodarki indywidualistycznej, opartej na zaciekłej walce wzajemnej.

„American Observer", Waszyngton.

KAPUSTA, KALAFIORY I ZŁOTO

Wierzę:

1) że ceny kapusty, kalafiorów i broccoli pójdą w górę, i

2) że coś zabawnego, a może bardzo niepokojącego stanie się na rynku akcji złota, kiedy kapusta, kalafiory i broccoli podrożeją w cenie.

A dlaczego ja sądzę, że jarzyny te podrożeją?

Posucha musi wywrzeć wielki wpływ na interes zbożowy. Ten wpływ da się we znaki dopiero w najbliższym roku.

Zbiory zboża będą w tym roku bardzo małe nietylko u nas, lecz również na całym świecie. Wiele roślin zupełnie wyniszczonych, i popyt na ziarno na zasiew wzrośnie poważnie. Będzie znaczne zmniejszenie podaży i zwyżka cen.

Radzę zakupić akcje najlepszych towarzystw dla handlu zbożem, ale najlepsze towarzystwa mają bardzo szczupłe kapitały.

Kiedy prywatny spekulant, który kupował złoto na miljony funtów, zdecyduje się zużyć swoje pieniądze na coś innego, co miałoby widoki podrożenia, albo mogłoby zapewnić większe zyski, — co zrobi?

Przedewszystkiem sprzeda złoto i akcje złote.

Wszystko zależy od ceny, jaką banki centralne będą płacić za złoto. Ta cena w dużej mierze zależy od ilości złota, jakie im będą zaofiarowane. Podczas gdy amerykańskie i francuskie banki centralne chciwie zbierały złoto, Bank Angielski był bardzo oszczędny i znalazł korzystniejszy sposób zużycia swoich zapasów. Stany Zjednoczone niebawem zdecydują się na tę samą politykę.

Mojem zdaniem, ilość złota pewnego dnia będzie tak wielka, że banki centralne znowu zezwolą na jego obieg w postaci monet. Zdanie to jest przeciwne opinji największych autorytetów. Ale ja nie wierzę, ażeby jakakolwiek waluta papierowa była zdrowa, o ile nie może być, na żądanie, zamieniona na złoto.

Jeden z najsprytniejszych kupców branży metalowej w Londynie powiedział mi przed kilku dniami, że poradził on pewnemu dyrektorowi kanadyjskiej kopalni złota, aby sprzedał zgóry swoją produkcję złota za cały rok, przyjmując pieniądze w dolarach lub funtach sterling. Jest on bowiem zdania, że niema obecnie większego ryzyka w walucie papierowej, niż w złocie.

„The Sunday Express", Londyn

Mongolja budzi się

Wysoko, na szczytach Azji Wschodniej, 5000 stóp nad poziomem morza, Mongołowie, ongiś zwycięzcy i władcy całego świata, walczą teraz sami przeciwko podbojom i zapomnieniu. Zewsząd uciska ich kultura — ta kultura, która jest grobem wolności koczowników. Z roku na rok kurczą się ich granice, pług obraca stepy w uprawną ziemię. Znajdują się w położeniu narodu, schwytanego i wciągniętego w wir życia, którego nie są w stanie zrozumieć.

Mongolja Środkowa, skąd wzięła swój początek rasa, która siedem wieków temu, pustoszyła ziemię i pozostawiła ślad na wszystkich prawie rasach Azji i Europy — liczy dziś niecały miljon ludności. Ta garstka chce po raz ostatni walczyć o prawa do życia. Zgadzając się na pozostanie wśród pięciu grup rasowych, tworzących republikę Chińską — Mongolja pragnęła uzyskać zupełny samorząd i pełne prawo obrony swych ziem od podboju agrarnego Chin z południa, a podboju wojskowego Japonji ze strony wschodniej.

Mongolja żyje dotychczas w średniowieczu. Niektóre prawa obwieszczone były przed 700 laty przez Dżingis-Chana, a większość obecnych obyczajów Mongolji pozostała niezmieniona i starożytna. Mongolja musi się jednak do pewnego stopnia unowocześnić. Na ziemiach jej nigdy nie pojawią się zapewne drapacze chmur, ale może równiny jej zadudnią kiedyś stukiem kół pociągu... Mongolja musi się unowocześnić — albo zniknąć.

Potężny jej sąsiad — Chiny, które w ciągu długiej swej historji pochłonęły tyle narodów — pochłonęły już trzecią część Mongolji i grożą zagładą pozostałej części. Wkroczenie Chin zaczęło się już przed laty, a po rewolucji chińskiej w roku 1911 Mongolja wcielona została do republiki chińskiej. Chińscy marszałkowie i możnowładcy następowali po sobie szybko na widowni Chin — rujnując kraj, biorąc do wojska mężczyzn, jako żołnierzy, a wypuszczając stamtąd — jako bandytów, chłop chiński ładował cały swój dobytek na grzbiet jedynego, posiadanego wołu i ciągnął na północ. Osiedlił się na granicy rozległych stepów Mongolji, zaprzągł swego wołu do drewnianego pługa i zaczął uprawiać rolę.

Była to grabież; ale Mongolja, gdzie ani jeden skrawek ziemi nie należał do żadnej jednostki — sami ułatwiała tę grabież. Cały ten kraj należy do wszystkich mongołów; ich stada błąkają się i pasą wszędzie. Jeśli mongoł natykał się na chińskiego kolonistę, zawracał poprostu swoje stada w inną stronę. Nie pojmował coprawda czemu jego przyjaciel i sąsiad, chińczyk orze ziemię mongolską — nie przeciwdziałał jednak temu. Wszak zagrabiony skrawek ziemi był tak mały — tak wąski.

Chińczycy odbierają ziemię

Z roku jednak na rok coraz więcej kolonistów z Chin, opanowanych przez bandytów, wkraczało wgłąb kraju, gdzie jeszcze rządziło prawo i panował pokój. Wąski skrawek ziemi zaczynał się rozszerzać. Wkrótce bandyci chińscy odkryli również to nowe terytorjum, możnowładcy odnaleźli je, kazali dostarczać żywności dla ludzi i podatków do własnej kieszeni. W r. 1928, nacjonaliści chińscy zdobywszy nominalną władzę nad całemi Chinami, ulegalizowali tę grabież przez wycięcie z terytorjum mongolskiego dwóch nowych prowincyj, nazwanych Snijak i Chachar, do których, aby to ukryć dodali coś niecoś z rdzennie chińskich prowincyj Chihli i Szansi.

Ale te nowe granice nie zadowoliły rolnika chińskiego. Szedł ciągle dalej ku północy i ciągłem posuwaniem się wgłąb, zagrażał mongołom zupełnem wyparciem ich ze stepów na piaski pustyni Gobi, gdzie zginęliby wraz ze swemi stadami i tabunami. Uświadomiwszy to sobie, mongoł poprosił swego starszego brata, mieszkańca Chińskiej-Republiki, by przywrócił mu prawo rządzenia swym krajem, i zachowania swej niezależności. Nie żądał zwrócenia ukradzionych ziem. Żądał, aby Chiny zaprzestały ściągania podatków z ziem mongolskich i aby chińczycy na terytorjach mongolskich podlegali prawom mongolskim. Głównem jednak ich życzeniem było, powstrzymanie wkraczania rolników wgłąb kraju, który żywił jego konie, bydło i owce.

Właśnie odbyłem tysiącmilową podróż po tym dziwacznym i mało znanym kraju. Towarzyszył mi książę Mongolji, Larson, szwed, który czterdzieści lat przebywał wśród mongołów. Jest to kraina o przecudownym krajobrazie; pomimo braku drzew, roślinności i wody posiada prześliczne płytkie doliny i wzgórza, które wyłaniają się z równin, jak grzebienie fal z morza. Jest to kraj o pięknie brzmiących nazwach — Sharamuren, Karanor, Argulnor, Chagan-hura, Alashan, kraj jurt zamiast domów; kraj ludzi, zahartowanych krańcowo-zmienną temperaturą; kraj ludzi, którzy dotąd jeszcze obawiają się piorunów i błyskawic, jako głosów nieba, nie obawiają się zato ani człowieka ani zwierzęcia; kraj książąt, mężów stanu, żołnierzy i zwykłych ludzi, żyjących jaknajprościej i korzystających z najprostszych przyjemności życia; kraj ludzi, którzy mogą pędzić galopem po całej Azji, tak jak ich praojcowie, najlepsi jeźdźcy świata.

W pobliżu Kalganu, miasta na dawnej granicy chińskiej, gdzie większa część budynków wznoszona jest po dziś dzień z cegieł ulepionych z błota, góry wznoszą się z pokrytej pyłem równiny. Sztywne, skalne wąwozy prowadzą wgórę i po drodze, napotykamy wozy chińskie i karawany wielbłądów, przybywających z Mongolji. Na jednem z owych przejść zatrzymujemy się, by przepuścić 200 wielbłądów, z których każdy obładowany jest 280 funtami opjum. Karawana chińska, podążająca z prowincji Kansu, przeszła przez spokojną Mongolję, omijawszy nawiedzane przez bandytów prowincje chińskie.



Na wysokości prawie 7.000 stóp osiągamy przełęcz a potem schodzimy łagodnym spadkiem ku płaskowzgórzu Mongolji. Rolnik chiński przebył te oto właśnie góry. Wszędzie widać jego niewielkie włości. Stada, należące do mongołów, nie mogą się już paść tutaj.

Wreszcie przechodzimy obok szeregu małych folwarczków i lepianek i zbliżamy się do stepów, gładkich, spadzistych równin, na których znaczą się jedynie ślady karawan wielbłądzich — tych dróg, po których chodzą już całe stulecia.

Kraj bandytów

Rozglądamy się bacznie za podejrzanymi jeźdźcami, jest to bowiem kraj bandytów. Wspinając się na górę, napotykamy poniżej w odległości pół mili oddział, złożony z dwudziestu uzbrojonych jeźdźców. Bandyci! Kiedy się jednak zastanawiamy czy zawrócić, ludzie ci okazują się żołnierzami mongolskimi; podjeżdżamy bliżej do patrolu. Wypytujemy o bandytów. Odpowiadają, że cały ranek zeszedł im na walce z 200 bandytami. Teraz droga jest wolna. Owinięci w owcze skóry, usadowieni na swych drewnianych mongolskich siodłach — ludzie ci to ci sami, którzy pustoszyli Europę pod wodzą Dżyngis-Chana. Dzisiaj jednak miejsce łuku zajął karabin.

Mongolja jest krajem wspaniałych zachodów słońca; wraz z zachodem dosięgamy miejsca naszego noclegu, małej świątyni, na którą niedyś spadło przekleństwo i — co za tem idzie — opuszczenie. Larson uczynił ją swoim domem.

Jest listopad i dokucza nam przejmujące zimno. Wita nas służący — mongoł i rozpala żywy ogień, podsycając go „węglem" mongolskim, tak zwanym „arghulem" — suszonym nawozem baranim, końskim, bydlęcym i wielbłądzim, który stanowi jedyny materjał opałowy tego kraju. Ogrzewa się nim wszystkie jurty, gotuje na nim wszelkie pożywienie.

Wychodzimy na dwór, aby rozejrzeć się w świetle wieczora. Nasza dawna świątynia zbudowana jest pod czubem niewielkiego szczytu; przed nami rozciąga się okrągła równina o piętnastometrowej średnicy, ozdobiona małem jeziorkiem. W dali zarysowują się ledwie widoczne małe wioski mongolskie.

Wioski z namiotów

Zrana zwiedziłem jedną z tych wiosek. Składa się tylko z ośmiu namiotów, mieszczących około trzydziestu osób. W pobliżu popasa kilka wielbłądów i mlecznych krów, najbardziej jednak rzuca się w oczy ogromny stos „arghulu". Zima nadchodzi; poprzedniej nocy temperatura spadła poniżej zera; wkrótce śnieg pokryje równiny i utrudni zbieranie arghulu. Stos ten to zapas zimowy.

Wioska jest jedną rodziną, począwszy od dziadka, skończywszy na wnukach. Zapraszają nas do pierwszej jurty i sadzają na honorowem miejscu. Pan domu wysoki, opalony na bronz pięćdziesięcioletni mongoł ma siwe włosy, głęboko-osadzone oczy i chętnie się uśmiecha. Jest jednak zmartwiony. Niedaleko stamtąd, pojawili się bandyci chińscy, każdej chwili można się spodziewać ich najścia. Nie chce opuścić tych stepowych stron, gdzie 15 lat żył szczęśliwie i spokojnie; musi jednak iść dalej na północ. Właściwie znajduje on się o 150 mil od granicy mongolskiej; po przyłączeniu jednak do Chin tego kraju mongolskiego, nazwanego teraz Chahar — granica przesunęła się o przeszło sto mil. Nasz gospodarz jest właścicielem tabunu tysiąca koni i sam nie wie, kiedy będzie musiał pognać je na północ, by uniknąć najazdu bandytów.

Podczas kiedy popijamy mongolską herbatę (równa ilość mleka i wody i szczypta prasowanej herbaty zagotowanej w tym płynie) — nasz gospodarz, dziadek tej wioski, rozmawia z nami swym nadzwyczajnie wyrazistym językiem, łamiąc „arghul" by podsycić ogień, płonący w małym żelaznym koszyczku na środku podłogi. Kolumna dymu unosi się z otworu w namiocie, pozostawiając wewnątrz niego niebieskawą mgłę. My jednak, siedząc po turecku na kocach, znajdujemy się poniżej tego dymu; jest nam ciepło i wygodnie.

Niedługo potem ruszamy w dalszą drogę. Pierwszy śnieg zimowy pokrył płaskowzgórze, zwiastując bujną trawę na przyszłą wiosnę. Tymczasem konie, owce, wielbłądy i bydło musi skubać wyschłą trawę wraz ze śniegiem, który służy mu jako napój, dopóki słońce wiosenne nie podniesie z ziemi świeżych, zielonych źdźbeł. Nim przejdzie zima, termometr spadnie do 40 stopni poniżej zera; te wytrwałe zwierzęta pozostaną jednak na równinach, a kudłata ich, kilkucalowej grubości sierść chroni je będzie przed dokuczliwem zimnem.

Chan mongolski XX wieku

Wkrótce docieramy do kilku budynków — pałacu księcia mongolskiego. Ten nowoczesny Chan mieszka w pałacu w chińskim stylu o przepysznie rzeźbionych i ozdobionych wrotach, wiodących do przepięknych, symetrycznych dziedzińców, otoczonych pawilonami o wygiętych dachach i lśniących ornamentach. Żołnierze mongolscy, odziani w ciężkie skóry owcze i uzbrojeni w karabiny, pełnią straż przy wejściu. Nieopodal wznosi się świątynia, zbudowana przez księcia dla Pauchen Lamy — arcykapłana Tybetu, wygnanego ze swej ojczyzny na długi szereg lat.

Ani księcia, ani lamy niema jednak w domu. Poprzez równiny i pustynie rozniosły się słuchy, i książęta zebrali się na naradę w klasztorze lamów, położonym o 200 mil na zachód, aby spotkać się z przedstawicielami rządu chińskiego. Jedziemy w kierunku zachodnim, przez nieskończone równiny, mijając od czasu do czasu wioski, złożone z dwóch do dziesięciu jurt, mijając od czasu do czasu karawany. Wkońcu przybywamy do klasztoru lamów w Sharamuren, miasta świątyń i lepianek, w których mieszkają lamowie, a jest ich z tysiąc.

Budynki, wzniesione pod szczytem wzgórza, biało-malowane i ozdobione szkarłatem i złotem, olśniewają swym widokiem.

W siedzibie konferencji, Pailingmiao, zebrało się przeszło stu książąt z całej Mongolji. Siedząc w jednej z jurt, przed żarzącym się „arghulem" rozmawiałem z niektórymi książętami o ich ruchu narodowym. Po jednej stronie siedział radny — mongoł w podeszłym wieku, głęboki znawca języka chińskiego i języków klasycznych. Czerwony blask ognia podnosi jeszcze płomień dwóch świec, oświecających twarze dwóch najwyższych książąt Szczerze, i z godnością połączoną z uprzejmością, omawiają swe troski i zmartwienia.

Książęta chcą praw

„Od czasu rewolucji chińskiej czekaliśmy dwadzieścia lat, by Chiny dały nam prawa, o których mówił ich wódz Sun Yat-sen. Jesteśmy nadal wiernymi członkami republiki chińskiej, żądamy jednak praw rządzenia sobą i swoją ziemią. Wcieliwszy się do republiki — ofiarowaliśmy jej swoje poparcie — ale kraj nasz nasze bydło, konie, naród, pył — należy do nas. Osadnicy chińscy zabierają nam z każdym rokiem coraz więcej ziemi, wypierając mongoła ku północy, na pustynię. Bandyci chińscy grabią nasze granice. Żądamy praw rządzenia naszym krajem i wygnania intruzów.

„Osadnik chiński może pozostać: jest naszym bratem i będziemy go tak traktowali, jak chcielibyśmy być traktowani. Musi się on jednak gdzieś zatrzymać. Stada, należące do mongołów, muszą mieć swoje pastwiska. Utworzyliśmy zatem państwo o rządzie autonomicznym. Stolica nasza będzie się znajdować w odległości trzydziestu mil stąd, obok „Stawu Niebiańskiego". Jest tam dobra woda, piękny krajobraz i doskonałe pastwiska".

Zapytałem jakiego rodzaju będzie ta stolica. Pałace z cegieł i kamieni? „Nie, odpowiedział jeden z książąt, będzie to sto nowych jurt umieszczonych wpobliżu „Stawu Niebiańskiego". Żaden rząd oficjalny nie będzie opłacany srebrem. Będzie on miał jurtę — mieszkanie, służbę i owce."

Nie uciekając się do niczego ultra-nowoczesnego, Mongolja może polepszyć swą sytuację. Jej produkty mleczne mogą wyżywić całe Chiny Północne, tak niedostatecznie zaopatrywane. Jeden z nowocześnie-myślących książąt założył garbarnię, która umożliwi korzystniejszą sprzedaż tysięcy skór i futer. Mongolja dostarcza Chinom niezliczonych tysięcy zwierząt pociągowych — wołów, wielbłądów i koni. W jednym z pałaców książęcych mieści się skład maszyn, produkujących amunicję.

Nawiedziły też Mongolję nowoczesne samochody; jest ich jeszcze mało, służą jednak dobrze swoim właścicielom. Rzadko kiedy książęta i urzędnicy galopują poprzez równiny, aby załatwić swe sprawy; automobil mknie z nimi nie po szosach, ale przez rozległe przestrzenie, kierując się słońcem i gwiazdami, omijając tylko wzgórza i rzeki. Jednym z najświeższych właścicieli aut w Mongolji jest „żywy Buddha". Zamiast windowania swych powłóczystych szat ze złota i szkarłatu na grzbiet konia, albo wielbłąda, na którym może przebyć 25 mil dziennie — może zrobić dwieście mil po równinach — wygodnie — między posiłkiem rannym a zachodem słońca. Dowódcy karawan zastanawiają się nad tem, czy synowie ich będą wiedli karawany wielbłądów poprzez stepy i pustynie. Tutaj, gdzie przez całe wieki życie płynęło spokojnym trybem — zaczyna się wreszcie przejawiać potęga cywilizacji Zachodu. Aby istnieć dalej mongołowie przyswoją sobie tę kulturę.

Frank Oliver.

„Current History", Nowy Jork.

STŁUMIENIE GROŹNEGO SPISKU —

Jeżeli spisek — kto jest spiskowcem?

Prawdą jest, że intryga z mocarstwem ościennem była przyczyną sobotnich mordów w Niemczech. I prawdą jest, że tem mocarstwem jest Francja.

Lecz intrygantem nie był ani Roehm, ani zamordowany von Schleicher. *Był nim Hitler we własnej osobie.*

Jakie dwa tygodnie temu zjawił się w Paryżu powiernik Hitlera i jego emisarjusz w sprawach rozbrojeniowych, v. Ribentrop. Odwiedził on P. Barthou i obiecał mu, że jeżeli Francja zgodzi się na dozbrojenie Niemiec w formie proponowanej przez P. Edena *Hitler nietylko zdemilitaryzuje oddziały szturmowe, jak to obiecał P. Edenowi, lecz rozpędzi je natychmiast.*

P. Barthou, jak zwykle, nie przejął się tem zbytnio i powiedział p. v. Ribentrop, że rząd francuski nie może polegać na obietnicach, lecz musi widzieć fakty. P. v. Ribentrop poprosił o kilka dni czasu, wyjechał, a potem wrócił i zapewnił, że fakty nastąpią w najbliższym czasie.

Wiadomość o tych pertraktacjach przenikała do kół S. A. i te zdały sobie sprawę z tego, że Hitler zamierza je złożyć w ofierze na rzecz porozumienia z krajem, o którym stale im mówił, że jest „naturalnym wrogiem" Niemiec. Stało się jasne, że urlop miesięczny S. A. będzie początkiem ich ostatecznego końca.

Wtedy dopiero Roehm i inni przywódcy S. A., widząc swoje posady i wpływy w niebezpieczeństwie, zaczęli myśleć o oporze...

„The Daily Herald", Londyn.

Jeżeli spisek — kto go zdradził?

Goebbels wygłaszał w ostatnich dniach najbardziej radykalne przemówienia. Przeciwko niemu przedewszystkiem była skierowana marburska mowa wicekanclerza v. Papena. Jego gwiazda propagandowa zdawała się blednąć w gwałtownie szybkiem tempie po sromotnej porażce kampanji przeciwko krytykom i oszczercom. Można więc było przypuszczać, że przyłączy się do radykałów i postawi wszystko na „ostatnią kartę" drugiej rewolucji, kiedy skok ten nie będzie zbyt ryzykowny.

To skłoniło stronę przeciwną, oczywiście, z największą ostrożnością, do zwrócenia się do niego (ostrożność zaś była konieczna dlatego, że w partji narodowo-socjalistycznej wiedziano dobrze, że Józef Goebbels dwukrotnie prowadził dwulicową grę i wkońcu zdradził opozycję). Jednak zdaje się, że mimo ostrożności za dużo powiedziano ministrowi propagandy o tem, co się przygotowywało dokoła Roehma, bo w Godesberg (miejsce spotkania Hitlera z Goebbelsem przed wyjazdem pierwszego do Monachjum) Goebbels mógł Hitlera dokładnie poinformować o przygotowujących się wypadkach. Opowiedzenie się Goebbelsa po stronie Hitlera należałoby sobie tłumaczyć tem, że tymczasem dowiedział się, iż Reichswehra stanęła po stronie Hitlera.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Nie Roehm spiskował, lecz Hitler

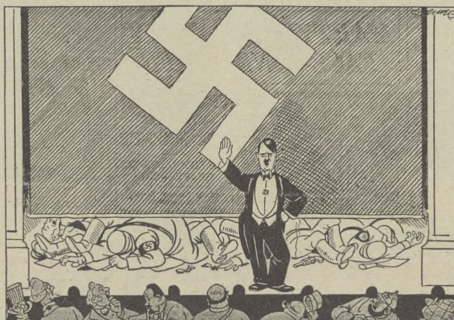
Nie Roehm bowiem spiskował, lecz Hitler sam. Wierność jest według naszego starogermańskiego pojęcia wzajemnem zobowiązaniem. Jeżeli Hitler posyłał S. A. na zieloną trawkę, to było to napewno sprzeniewierzeniem się; jeżeli zaś S. A. przeciwko temu pomrukiwała, to miała ona słuszne ku temu powody. Albowiem niczego prócz niewyraźnych pomruków nie było. Romantyczne wyobrażenia o drugiej rewolucji pokutowały w głowach S. A. Generałowie S. A. chcieli to wielkie napięcie w kierunku lepszego porządku społecznego zużytkować w celu wywarcia małego nacisku na Hitlera, by swoje własne stanowiska ocalić. To było zupełnie w porządku, albowiem bonzowie narodowego socjalizmu szantażowali się zwykle wzajemnie. Jak świetnie ci doskonali żołnierze sobie wzajemnie nogi podstawiali, nikt sobie wyobrazić nawet nie potrafi. Goebbels przygotował zamordowanie Grzegorza Streichera juz w swojej książce: „Od Hotelu Kaiserhof do kancelarji Rzeszy". Już w tydzień przed zamordowaniem, Roehm został wykluczony ze wszystkich związków oficerskich. Spisek w Wiessee jest zdaje się zwyczajną intrygą Goeringa. Po tem, jak się bez zbytecznych formalności sądowych wytłukło współpracowników całego dziesięciolecia, dorabia się na ich rachunek, po ogłoszeniu ich za degeneratów, coś w rodzaju nowego podpalenia Reichstagu. Aby zaś nikt nie współczuwał z zamordowanym ministrem wyjawia się narodowi niemieckiemu straszną tajemnicę: Roehm był pederastą, a morderca kapturowy Heines, postrach Śląska, lubił pulchnych chłopczyków.

„Die Neue Weltbühne", Praga.

Hitler paktował ze Strasserem

Dziś po skrytobójczem zamordowaniu mojego brata (Grzegorza) odpadają wszelkie powody ukrywania faktu, że do ostatnich dni czerwca Hitler konferował z nim w sprawie wciągnięcia go do gabinetu, przyczem brat mój stawiał jako pierwszy warunek usunięcie Goeringa. Ostatni list jaki w tej sprawie otrzymałem nosi datę 20 czerwca, znajduje się tam dopisek, że Goering w odpowiedzi na warunek mojego brata zaczął przygotowywać zamachy skrytobójcze na mnie i na mego brata, oraz inwigilować telefon i pocztę Hitlera, który ważne listy otrzymuje tylko na adres Magdy Goebbels.

Dr. Otto Strasser.
„Die Deutsche Revolution",
Saarbrücken.



Pan dyrektor do publiczności złożonej z przedstawicieli różnych narodów: Proszę o pozostanie na miejscu. Za kulisami zdarzył się mały wypadek. Kurtyna wkrótce pójdzie znowu w górę.
„Daily Express", Londyn.

Nie spisek — lecz prowokacja?

W czasach rewolucji spiski i kontr-spiski są pojęciami względnemi. Spiskowcem w takich wypadkach jest każdy, kogo panująca partja, czy klika, stara się pozbyć ze strachu albo z innych powodów. Jeżeli kapitan Roehm i jego towarzysze są naprawdę takimi arcy-intrygantami, za jakich nam ich podają, to dziwnem wydaje się, że pozwolili się schwytać „w wigilję rewolucji" jeden na wilegjaturze a inni w łóżkach. Ciekawe też jest, że niemoralne prowadzenie się rokoszan dopiero teraz i to tak nagle stało się pretekstem do tak krwawej „czystki".

Wypadek generała Schleichera jest również bardzo zastanawiający. Ten żołnierz-polityk był intrygantem i bynajmniej nie ukrywał się z tem. Wieszał on otwarcie psy na reżimie i posunął się w tem tak daleko, że zażądał rozmowy z Hitlerem, w celu omówienia ewentualnej zmiany kierunku. Jest natomiast nader nieprawdopodobne, by miał on coś wspólnego z Roehmem. Do spotkania z Hitlerem nie doszło, panuje przekonanie, że stało się to dzięki interwencji Goeringa. Kilka dni później von Schleicher i jego małżonka padają od kuli zbirów Goeringa, bo „sprzeciwiali się aresztowaniu". Nikt jednak poza granicami Niemiec, a mało kto w Niemczech samych uwierzy w oficjalną wersję tych zgonów.

Jest wprost niemożliwe, by generał von Schleicher sprzeciwiał się uzbrojonym ludziom, przychodzącym go aresztować, a jako człowiek nie poczuwający się do żadnej winy, nie miał on powodu do samobójstwa.

Istnieje jeszcze jedna okoliczność, która nie uszła uwadze uważnych obserwatorów mianowicie uderzające podobieństwo inscenizacji obecnego spisku do inscenizacji podpalenia Reichstagu, piętnaście miesięcy temu.

W obu wypadkach niema potwierdzenia oficjalnej wersji urzędowej o wypadkach. W obu wypadkach ta wersja urzędowa jest spreparowana i podana korespondentom zagranicznym w kilka zaledwie godzin po wypadkach, o których ona informuje, i to w chwili, kiedy należałoby się raczej spodziewać takiego zamieszania, któreby czyniło wszelką szczegółową i autentyczną wersję przynajmniej n i e c o p r z e d w c z e s n ą.

„The Morning Post" Londyn.

Ordery ministra Goeringa

Opowiadają w Berlinie:

Generał Goering ubiera się w swój najnowszy mundur. Wszystko jest w najlepszym porządku, ale nie można znaleźć orderu „pour-le-merite". Służba szuka zaginionego orderu po wszystkich kątach. Wreszcie jeden z nich przypomina sobie: „Przecież jest przy nocnej koszuli".

„Das Neue Tagebuch" Praga

Partja czy frakcja?

Urzędniczka jednej zagranicznej agencji telegraficznej stenografowała wiadomości, które jej podawano z Berlina.

Nie rozumiała słowa „homoseksualny".

— Jaka partja? — spytała korespondenta, podającego wiadomość.

— To nie partja, lecz frakcja polityczna, — odpowiedział poważnie korespondent z Berlina.

„Le Journal de Moscou", Paryż.

„Bohaterstwo" Hitlera

Minister propagandy Goebbels opowiadał, że Hitler wylądował w Monachjum w chwili, kiedy buntownicy z oddziałów szturmowych już zaczęli gromadzić się na ulicach. Świadectwa zebrane w Monachjum potwierdzają jednak, że nie wydano żadnego rozkazu mobilizacyjnego, i że wszyscy rokoszanie spali spokojnie w swoich domach, czy koszarach w chwili, kiedy Führer spadał z nieba.

Ten sam Goebbels opisywał niebywałą odwagę Führera, który udał się osobiście do Weissee w celu stłumienia buntu w zarodku i ujęcia Roehma, Heinesa i towarzyszy. Okazuje się tymczasem, że Hitler udał się do Weissee w towarzystwie 50 uzbrojonych ludzi, którzy na jego rozkaz działali na pierwszem piętrze, podczas gdy on sam nie opuszczał parteru. Zresztą, czy jest do pomyślenia, by ludzie tego pokroju, co Roehm i Heines oddawali się uciechom lub poprostu spali w chwili, kiedy ich wierni podwładni już maszerują?

Nie pozbawiliby się chyba takiej uroczystości.

„Echo de Paris, Paryż.

Przygnębienie duchowe Hitlera

Informacje z berlińskich kół dyplomatycznych wskazują na to, że wypadki ostatnich dni zrobiły na Hitlerze bardzo silne wrażenie. Osoby, które rozmawiały we wtorek z kanclerzem, opowiadają, że jest on przygnębiony, smutny i źle wygląda. Lekarze doradzają mu urlop wypoczynkowy, albowiem ostatnie wypadki wywołały u niego stan depresji psychicznej. Bliższe otoczenie kanclerza jest spowodu tej depresji bardzo przygnębione.

„Neues Wiener Journal". Wiedeń.



CHARLIE CHAPLIN CZY . . .?
Fotomontaż „Clarion", Londyn.

CZY ZGÓRY UPLANOWANY MORD?

Śmierć kondotjera

Trzeba będzie kiedyś, żeby ktoś napisał biografję tego szlachcica z przypadku, dawnego pułkownika peruwjańskiego, spiskowca, amatora sensacyj, herszta bandy i szefa armji.

W niektórych kołach berlińskich był on ubóstwiany; bardzo przystojni młodzi ludzie, którzy dawniej popisywali się swoim talentem w spelunkach nocnych, obecnie zamkniętych, towarzyszyli mu we wszystkich jego wędrówkach, fruwali naokoło niego jak motylki i służyli mu — jeżeli wolno tak się wyrazić — jako gwardja przyboczna. Był to wielki władca dekadencji. Kazał urządzić na dachu swego domu wspaniały taras, gdzie lubił wydawać niebywałe uczty. Dysponował kilkoma samochodami, i mimo kryzysu wydawał przeszło 30.000 marek miesięcznie, czyli 180.000 franków. Pieniądze te zresztą łatwo znajdywał, ponieważ pochodziły ze zbiórek, urządzanych na ulicach rzekomo na rzecz żołnierzy oddziałów szturmowych, będących w potrzebie.

Kiedy opuścił Berlin, w końcu zeszłego tygodnia, udając się z młodym towarzyszem na wypoczynek do swojej posiadłości w pobliżu Monachjum, nie przypuszczał, jak się zdaje, że była to jego ostatnia podróż.

Dramat każdemu już znany. Jest godzina piąta rano. Roehm dokańcza noc miłosną. W pobliżu śpi cherubinek. Stukają. Wchodzą. Kto to?

Roehm ubiera się na swojem łóżku. Hitler, Hitler złych poranków zbliża się. Słowa są zbyteczne. Hitler wyciąga rewolwer. Roehm zrozumiał.

— Zabij mnie! — mówi do Hitlera. Był to bowiem jedyny człowiek w Rzeszy, który mówił kanclerzowi ty.

— Nie zabijam zdrajcy, — odpowiada kanclerz. — Roehm, składam cię z urzędu i aresztuję.

W sąsiednim pokoju dwa strzały kończą ten dziwny djalog. Heines, konfident Roehma, został zastrzelony.

Hitler odchodzi. Mały strumyk krwi płynie pod drzwiami sąsiedniego pokoju. Policjanci zbliżają się, by spełnić swój obowiązek. Młody cherubin otwiera wielkie oczy. Czemu go obudzono? Co tu robią ci ludzie? Dlaczego ten hałas? Ach! jak mu serce bije ze strachu...

Roehm ubiera się w milczeniu. Idzie on za ludźmi w płaszczach, którzy trzymają ręce w kieszeniach, a w rękach ściskają rewolwery służbowe.

Teraz jest on w swojej celi, w więzieniu tuż za murami Monachjum. Przypomina sobie... 31 stycznia 1933 r. o godzinie 10 rano w Kaiserhofie Hitler opuszcza pokój 228, aby udać się do Prezydenta Rzeszy, gdzie ma być mianowany kanclerzem. Jedyny człowiek przy jego boku: on, Roehm...

Chwila radości, chwila triumfu, chwila promienna... A teraz? W półcieniu, przed jego twarzą błyszczy rewolwer. Na oknie wisi sznur. Wszystko zgóry przewidziane. Ponure tête à tête. Dzień bez końca. Noc jeszcze czeka. Potem znowu dzień. Zzewnątrz nie słychać żadnego dźwięku. Roehm czeka. Lepiej od każdego innego wie on, że Hitler nie przebaczy.

Kiedy ludzie w gabardinowych płaszczach przychodzą, Roehm nie drgnie.

— Nie chciałem się zabić, nie dlatego, że się boję, ale dlatego, że chcę, ażebyście wzięli na siebie odpowiedzialność za moją śmierć...

Nie kończy zdania. Dziesięć strzałów rozlega się w więzieniu. Tak umarł kondotjer.

Przez grzeczność komunikat służbowy Goebbelsa brzmieć będzie:

— Ponieważ Roehm nie chciał wyciągnąć konsekwencyj ze swego czynu, uczyniono to za niego.

Czy mam wam opisać „rewję śmierci" na terenie lotniska w Tempelhofie przez członków S. S. w czarnych ubraniach po rozstrzelaniu szefa organizacji hitlerowskiej w Berlinie — Ernsta? W czystem powietrzu rozlegały się dźwięki fletów, muzyka żałobna, nieprzewidziana w kraju pieśni i romansów.

Ile krwi! Dosyć krwi!...

Czter ziestu — być może więcej — skończyło tak smutnie.

Była piękna niedziela. Dzwony w Berlinie wołały wiernych na modlitwę. Wannsee unosił na sobie lekkie łódeczki, gdzie szczęśliwe parki uśmiechały się do życia.

Była piękna niedziela. Rewolucja przeszła jak podmuch wiatru. Nigdy nie było tak przyjemnie żyć...

„Candide", Paryż.

„Ja jeden będę panował"
— powiedział kapitan Roehm

(Ze wspomnień księcia Maksa Hohenlohe)

W roku 1923 Roehm uciekł z Niemiec do Boliwji. Tam wstąpił jako oficer-instruktor do armji boliwijskiej, której dowodził generał-major Kund. Nowy marszałek armji boliwijskiej gen. Kund po kilku latach gospodarowania doprowadził do dyktatury wojskowej, sam zaś po nieudałym oporze zmuszony był uciec z tego „niewdzięcznego" kraju.

Jaką rolę odegrał w tej katastrofie kapitan Roehm, były adjutant i radca gen. Kunda?

W roku 1930, na kilka dni przed moim przyjazdem do Boliwji, gen. maj. Kund i prezydent państwa uciekli zagranicę. Zastałem jedynie dymiące ruiny porzuconych wspaniałych will w stolicy Boliwji. Indjanie w dzikim tańcu otaczali ruiny. Na ocalałych murach pałaców byłego dyktatora wojskowego widniał napis dziegciem: „Śmierć tyranom!"

Ślady bitew ulicznych jeszcze nie znikły, i wszystko świadczyło o tem, że odbyła się silna strzelanina. Nie bacząc na to, że prezydent i jego marszałek uciekli z kraju — były adjutant gen. Kunda, kap. Roehm, spokojnie pozostawał w stolicy, ażeby powoli zlikwidować swoje interesy.

Poseł niemiecki w Boliwji na uroczystym obiedzie wydanym na moją cześć oświadczył:

— Wpływy niemieckie w Boliwji wskutek tej katastrofy zniszczone zostały na 20 lat.

Kilka dni później odwiedziłem Roehma w jego mieszkaniu kawalerskiem. Twarz jego była zniekształcona bliznami. Nos jakby odrąbany szablą i niezupełnie dobrze przyklejony. Roehm mieszkał w swojej garsonjerze nie sam jeden. Zamieszkiwał z nim młody bawarski artysta malarz. Jak mi zakomunikował Roehm, znalazł on tego chłopca głodnego, zabłąkanego i zdziczałego w lasach południowo-amerykańskich, z litości przygarnął go do siebie. Obowiązki sługi wykonywał młody indjanin Kachabamba, który jednocześnie służył jako model dla bawarskiego malarza. Roehm z dumą pokazał mi trzy fotografje, które zdobiły ściany garsonjery. Były to wizerunki byłego ex-kajzera Wilhelma II, kronprinca Ruprechta Bawarskiego i „wodza" — Adolfa Hitlera. Na portretach były napisy: „Naszemu kochanemu pułkownikowi Roehmowi".

W Boliwji kapitan Roehm otrzymał od pewnego starego indjanina w dowód wierności niezwykle rzadką srebrną buławę Inków. Po powrocie do Europy przyjaciel jego malarz prosił go, by zostawił mu tę buławę na pamiątkę.

— Spełnię każde twoje życzenie, — powiedział Roehm, — ale mnie ta buława jest bardziej potrzebna. W twoich rękach będzie to tylko srebrna laska, w moich zaś będzie ona buławą władcy, bo nie ty i nie kto inny — ja jeden będę panował.

W rok później w Berlinie, podczas wyborów prezydenta znowu odszukałem Roehma. Spotkałem go w apartamentach „Führer'a" w hotelu „Kaiserhof".

Roehm był w ubraniu cywilnem i swoim wyglądem przypominał niebardzo eleganckiego amerykańskiego gangstera... Postanowiliśmy udać się do miasta, ażeby uczcić nasze spotkanie. Roehm zaprosił mnie do restauracji, tam go poznano i posadzono na miejsce zaszczytne. W czasie rozmowy Roehm wspomniał o niemieckich książętach i ich stosunku do narodowego socjalizmu:

— Niemieckich książąt już dawno przecięgnęliśmy na naszą stronę. Mnie nawet ofiarowano jedną księżniczkę za żonę, ...ale *niebardzo chce mi się żenić.*

Ten do niedawna skromny człowieczek przez ostatni rok zmienił się do niepoznania, stał się bardzo ostrym w ruchach i niejednokrotnie ze szczególną żarłocznością powtarzał wyraz „brutalna siła".

— W razie oporu nie zatrzymamy się przed najbardziej ostremi środkami. W ciągu ostatniego roku *stworzyłem armję z 600.000 żołnierzy. Z taką armją dużo osiągniemy...*

Kiedy była mowa o Hitlerze i jego zdolnościach dyplomatycznych, Roehm zawołał:

— Hitler nie jest dyplomatą — Hitler jest prorokiem.

„Pariser Tageblatt" Paryż.



Malarz pokojowy...

Rys. Sennep. „Candide", Paryż.

Jak Roehm szukał opieki w redakcji socjalistycznego „Vorwaerts"

W roku 1932 groził niektórym z obecnie wymordowanych ten sam los, który ich teraz spotkał. W początkach kwietnia Münchener Post donosiła, że istnieje w brunatnym domu grupa morderców, zwana komórką C. Zadaniem tej grupy miało być usunięcie szeregu dowódców, którzy stali się niewygodni. Pismo wymieniało, jako odpowiedzialnego za tę jaczejkę kapturową, kapitana Bucha, zaś jako rzeczywistego dowódcę bliskiego przyjaciela Hitlera, Danzeisena. Danzeisena skazano w związku z tem na sześć miesięcy, co jednak pozostało bez wpływu na jego przyjaźń z Hitlerem.

Ci, którym mordercy zagrażali, uciekli z Monachjum do Berlina. Kładli oni szczególny nacisk na to, by, w razie ich śmierci, nie pozostały wątpliwości co do przyczyn i wykonawców, przytem szukali oni opieki. Jeden z nich zjawił się 9 kwietnia rano w redakcji dziennika „Vorwärts", był to Dr. Bell, współpracownik i doradca Roehma, sam znany z procesu o fałszerstwo czerwońców.

Oświadczył, że przychodzi z polecenia Roehma. Roehm i jego przyjaciele obawiają się, by ich nie zamordowano spowodu ich stosunków z Reichswehrą. Uciekli w nocy z Monachjum do Berlina, i znajdują się w towarzystwie adwokata Lütgebrune, który ich do hotelu Kaiserhof zaprowadził.

Znajdowali się tam: Szef sztabu Roehm, Szef biura informacyjnego hr. Du Moulin-Eckert, Szef biura badania ras Himmler, Hrabia Spreti, Dr. Bell.

Schroniwszy się pod opiekę opinji publicznej i dzięki aresztowaniom, które wówczas w związku z tem przeprowadzono, wspomniani uniknęli wówczas śmierci. Nie na długo jednak, jak wykazał 30 czerwca 1934.

„Neuer Vorwärts", Karlsbad.

Ernst Roehm o swoim stosunku do Hitlera...

„Wiem, że ludzie nie znoszą tych, którzy ich napominają i ostrzegają. Z Hitlerem łączyła mnie szczera i otwarta przyjaźń; właśnie dlatego, że widziałem, iż pochlebcy krążą dokoła niego i nie odważą odważą się na słówko sprzeciwu, uważałem za swój obowiązek, jako wiernego przyjaciela, przemówić otwarcie".

To są słowa Roehma. Pochodzą one, bynajmniej nie z czasów ostatnich, kiedy Roehm miał iść na przymusowy urlop wypoczynkowy. Słowa te pisał dziś haniebnie zastrzelony szef sztabu S. A. kilka lat temu, po pierwszym rozłamie w partji. Jest to cytata z jego książki „Das Leben eines Hochverräters" (Życie Zdrajcy).

... i o sobie

Kiedy w roku 1924 spór między Hitlerem a Roehmem został rozstrzygnięty na niekorzyść tego ostatniego, Roehm znika z widowni. We wspomnianej autobiografji przyznaje on: „Utrzymywałem się z gażę, na których samo wspomnienie każdy przyzwoity człowiek musi się ze wstydu rumienić".

„Pariser Tageblatt", Paryż

W. KATAJEW

JEDYNY „OSTATNI EGZEMPLARZ”

— W tej zaś witrynie — objaśniał przewodnik po muzeum, — znajduje się największy cud Sowietów. Jest to jedyny egzemplarz obywatela z 1905 r.

— Z wosku, czy wypchany? — zapytał rzeczowo jeden ze zwiedzających.

— Nie, drogi towarzyszu, ani z wosku, ani wypchany, ale oryginalny, nietknięty zębem czasu, ani molami, egzemplarz z 1905 roku.

— Jak mamy to sobie tłumaczyć? — zapytali goście chórem.

— Tego nie można wytłumaczyć. Jest to jedyny na świecie wypadek snu letargicznego, cud w duchu Wells'a. Człowiek, który przed dwudziestu pięciu laty zemdlał i więcej się nie obudził.

— Niemożliwe.

— Przecież go państwo zobaczycie. Rzecz miała się tak: w roku 1905 obywatela tego przez omyłkę schwytano z jakimś demonstrantem i zaprowadzono do komisarjatu.

— Kim jesteś? — zapytał pełniący służbę policjant.

— Jestem urzędnikiem 12 kategorji, a nie tym, za kogo mnie pan bierze.

— Kłamiesz! Milcz! Do jakiej partji należysz?

— I dał mu tak w zęby, że obywatel nasz popadł w omdlenie, które przeszło w letarg. Nawet prasa zagraniczna wspominała o tym wypadku. Najlepsi lekarze nie mogli nic zrobić. A pewien wiedeński profesor oświadczył, że człowiek ten ocknie się z letargu dopiero za jakie dwadzieścia pięć lat. Ach, drodzy towarzysze, cóż to za historja!

— A czy wygląda on tak, jak za życia? Ach, jakiż to ciekawy i pouczający widok!

— Tak. Możecie go stale oglądać! Przekonacie się, że jest to szczególnie zabawny egzemplarz! Niesposób określić tego słowami: parasol, kalosze, zegarek, który jest jakąś rzadkością — a wszystko jest prawdziwe!

— Godna podziwu podobizna obywatela. Aż ślinka idzie do ust. Przekonajcie się sami!

Z temi słowy przewodnik rozsunął zasłonę — i cofnął się przerażony. Witryna była pusta.

— Znikł! — zawołał, pobladłszy strasźliwie.

— Pewnie go kto buchnął — wtrącił jeden ze zwiedzających. — Denerwująca historja.

— Możliwe, że go ktoś buchnął. Bucha się przecież nawet krzyże z nagrobków cmentarnych. Ale trupów jeszcze się dotychczas nie bucha.

— No więc, jakimże sposobem zniknął? A może sam zwiał?

— Pozwólcie, towarzysze, może obudził się po dwudziestu pięciu latach.

— Możliwe.

— No, jeśli tak, — ryknął przewodnik, — musimy go natychmiast szukać. Czy aby nie wpadł, Boże broń, pod autobus. Jestem za niego odpowiedzialny. Czyżby woźny nie uważał? Przepraszam was, towarzysze. Muszę iść, jaknajprędzej...

Obywatel zaś ocknąwszy się z letargu, chwycił się przedewszystkiem za nogi — czy aby nie zgubił kaloszy. Potem potrząsnął parasol, wytarł nos, ostrożnie wyszedł z witryny i bez przeszkód dostał się na ulicę.

— Do domu! Jaknajprędzej do domu! — mruczał. — O Boże, co sobie pomyśli jego żona! Co powie szef! Nocować w komisarjacie! Co za wstyd!

— Izwoszczyk! Twerskaja!

— Trzy ruble.

— Oszalałeś, bracie? 25 kopiejek.

— Tyś sam oszalał! Ładnegom gościa dostał!

Kanaljo jedna! Na co sobie jeszcze powala! Chcesz do komisarjatu?

— Będziesz mi tu groził komisarjatem?

— Ach, mój Boże, teraz znowu łotr będzie się wyśmiewał z władzy. Poczekajno, gołąbeczku, zanotuję tu sobie twój numerek! Policja!

— Kładź się, — zawołał woźnica z respektem, — doszło do tego, że ludzie upijają się z samego rana! No, tego to już nie potrafię! Musiałeś chyba wytrąbić ze dwie butelki, że tu tak stoisz i wołasz „Policja!“

Obywatel zanotował sobie starannie numer zuchwałego woźnicy i poszedł pieszo.

— Powiedz mi, towarzyszu, jak mam dojść do ulicy Dymitrowa? — zapytał go jakiś młodzieniec.

— Cooo? — wrzasnął obywatel — za kogo mnie pan bierze? Zdaje się, że za jakiegoś rewolucjonistę! Nie jestem żadnym towarzyszem!

— Czemże więc pan jest?

— Jestem urzędnikiem 12 kategorji i kawalerem orderu św. Anny. A to, żeś mnie przez omyłkę wziął za rewolucjonistę, nie dowodzi jeszcze...

Młodzieniec utkwił zdumiony wzrok w jedyny egzemplarz i usunął się trwożliwie.

— Co za okropne czasy, — mruknął rosjanin z 1905 roku. — Na ulicy zwracają się do ciebie per „towarzyszu“! Jeszcze szef się o tem dowie... Mogę stracić przez to posadę. Poczciwiec wsunął ręce w kieszenie i zaśpiewał „Boże, carja chrani“.

— Dawaj tu dwa numery „Sztandaru Rosji“!

— Co takiego?

— Dwa numery „Sztandaru“, rosyjskiego Sztandaru. Albo lepiej trzy!

— Niema takiej gazety.

— No, to daj mi „Nowoje Wremja“.

— Też niema.

— Cóż zatem jest?

— „Gazeta Robotnicza“, „Prawda“, „Czerwona Gwiazda“.

— Patrzcie państwo, co za bezczelność! Masz zamiar podkopywać ład społeczny? Handlować nielegalnemi gazetami? Poczekaj, szczeniaku, ciebie to już muszę zaprowadzić do komisarjatu.

— Niema pan prawa. Płacę podatki!

— No wiecie, doskonale. Ja ci pokażę podatki!!

Obywatel zanotował starannie rysopis i numer przestępnego kolportera i człapiąc monotonnie kaloszami, pospieszył dalej. Na froncie wielkiego budynku zauważył napis: „Moskiewski komitet rosyjskiej partji komunistycznej“.

— Nie, to już przechodzi ludzkie pojęcie! Na oczach wszystkich, że się tak wyrażę, podkopywać istniejący ład? Zapiszmy to sobie dokładnie. Ulica i numer.

— Towarzyszu, czy mogę prosić o ogień? — zatrzymał go jakiś tęgi obywatel w futrze bobrowem.

— Hi—hi — — — żadnych złudzeń. Nie należę do żadnej nielegalnej organizacji, do żadnego kółka rewolucyjnego, ani grupy politycznej. Nie jestem, poprostu, żadnym „towarzyszem“. A to, że przenocowałem w komisarjacie, proszę mi wierzyć, łaskawy panie, należy przypisać tylko tragicznemu nieporozumieniu. Nie zgadzam się absolutnie z podobnemi prądami... Tak... tak...

Przechodnie usuwali mu się trwożliwie z drogi

Przeszedł tak wzdłuż i wszerz całą Moskwę i stracił wszelką nadzieję.

Pewnego wieczora dozorca z muzeum znalazł „jedyny egzemplarz“, klęczący na placu przed teatrem i zanoszący się głośnem łkaniem: „Uczciwy człowiek... tragiczna pomyłka... urzędnik 12 kategorji. Nie brałem najmniejszego udziału. A to, że nocowałem w komisarjacie, to tylko, Bóg świadkiem, omyłka... Boże, carja chrani! A co się tyczy dorożkarza Nr. 4921 i kolportera Nr. 12 (14 letni blondyn, oczy niebieskie, oznaki szczególne: żadne), to mogę zaświadczyć, że brał udział w powstaniu, szczególnie ten, który sprzedaje nielegalne gazety... Mogę również podać dokładny adres komitetu Moskiewskiego partji komunistycznej.. A to, że przenocowałem w komisarjacie...“

Niektórzy przechodnie zatrzymywali się i dawali mu po kilka kopiejek...

W ciągu dwóch tygodni przewodnik po muzeum objaśniał obywatelowi zmiany ostatnich 25 lat. Z początkiem trzeciego tygodnia poczciwiec zrozumiał o co idzie. W końcu trzeciego tygodnia wstąpił do związku zawodowego. A z początkiem czwartego tygodnia, podczas przerwy obiadowej, rzekł do swych kolegów: „1905? Tak, tak. To były czasy! Mogę nawet powiedzieć, że brałem osobisty udział w walce przeciwko carowi. Trzeba wam wiedzieć, że nawet siedziałem! Za udział w demonstracjach! Miałbym co opowiadać! Co za burze nieprzyjacielskie przeciągały wówczas nad naszemi głowami...

Podobno, że w rocznicę pamiętnych dni z 1905 roku wygłosił dość udaną mowę. Nie wiem, czy tak było naprawdę. Wszystko inne zato jest szczerą prawdą.

„Die Welt am Sonntag“, Praga.

Słodko się żyje w płodoowocowej kooperatywie

Smakołyki dla dygnitarzy spółdzielni sowieckiej

Słodko żyje się w płodoowocowej kooperatywie Centrosojuzu. Tu jada się i pije się wcale nieźle. W ciągu ostatniego roku zarządzający Tichonow otrzymał i rozesłał według notatek naczelników (i z własnej inicjatywy): 133 skrzynek jabłek, 9 skrzynek winogron, 12 skrzynek gruszek, 18 skrzynek pomarańczy, 165 skrzyń mandarynek, 291 kilo miodu, 37 skrzyń wina, 667 kilo cebuli, 240 kilo owoców suszonych, 1.275 kilo cytryn, 52 kilo grzybów oraz 291 kilo najlepszej cebuli specjalnej. Jak widzicie, same drobnostki!

Zwoziły ludziska owoce, konfitury, miód i nawet cebulę na „potrzeby operacyjne“. Zbiera się autorytatywna narada. Jakże tu nie poczęstować drogich gości takiemi smakołykami! I wówczas zarządzający gospodarką kooperatywy, Tichonow, miał zadanie: „przywieźć!“ Odwozili, coprawda nie do „Centropłodoowocu“. Odwozi i do mieszkania zastępcy dyrektora Łukjanowa, do mieszkania zastępcy dyrektora biura płodów i ziaren, Koczetowa do mieszkań Wostroknutowa, Rode, do tajemniczego lokatora pokoju Nr. 343 w hotelu Nowomoskiewskim... I czy wogóle mało jest odpowiedzialnych pracowników w „Centropłodoowocu“, i czyż nie mają oni już wcale dobrych przyjaciół?

Każdy z nich urządzał „narady“ w gronie domowem, w najbardziej przytulnych warunkach. Dlatego więc chodżencką cebulę zawieziono do mieszkań Łukjanowa i Koczetowa.

Cebula była wspaniała!

— Dzielni chłopcy, ci chodżency — powiedział Łukjanow, i zarządził natychmiastowe przekazanie 5.000 rubli na rzecz funduszu leczniczego okręgowego komitetu partji Chodżence „celem premjowania rolniczej wydajności“. Zarazem już premjowano także 5 odpowiedzialnych pracowników tego okręgu, ofiarując im lekkie karabiny. Piękny podarek, i niedrogi — 1.252 ruble.

Ale nietylko w Chodżence mieszkają dobrzy ludzie. Bardzo często przyjeżdżają do Moskwy ludzie z Adżarkowsziru (organizacja spółdzielcza w Adżarystanie). Łukjanow, Koczetow, Rode i Wostroknutow mają dla nich wiele życzliwości. 15-go stycznia Koczetow zarządził „oddać do dyspozycji towarzyszy z Adżarkowsziru 5 skrzynek pomarańczy“ 14-go marca „towarzysze z Adżarkowsziru“ otrzymali jeszcze 3 skrzynki. 27-go marca „towarzyszom z Adżarkowsziru zachciało się wypić. Wostroknutow zarządził — „wydać 40 butelek wina“

Dobrze wypili adżarkowszirowcy za zdrowie Wostroknutowa. Wspomnieli przytem Koczetowa i Łukjanowa i postanowili cokolwiek się podchmielić. Szkoda było Wostroknutowi krzywdzić przyjaciół. 2-go kwietnia dał on im jeszcze jedną skrzynkę wina.

Pomieszkali oni sobie w Moskwie i zatęsknili. A bilet kolejowy niełatwo jest dostać w Moskwie. Wówczas pośpieszył z pomocą zarządzający bufetem centralnej stacji miejskiej w Moskwie, Kozłow. Początkowo dostarczał mu Rode pomarańczy, potem 200 kilo winogron, potem jeszcze 396 kilo, potem jeszcze i jeszcze...

Szeroką działalność rozwinęli liczni naczelnicy „Centropłodoowocu“. W miarę sił starali się dorównać im ich podwładni. I należy oddać im sprawiedliwość — wykazali się znacznemi sukcesami. W grudniu rozdzielili oni 1.475 kilo jabłek. Potem jeszcze półtora tonny.

Ale komuś sprzykrzyły się wreszcie jabłka.

— Cóż to wciąż jabłka i jabłka — powiedział sobie agent Rodin — trzeba urozmaicić menu. I wziął — prawdopodobnie na te same „potrzeby operacyjne“ — 1.152 kilo miodu.

„Izwiestja“, Moskwa.

Sztuczny deszcz w Aschabadzie

W turkmeńskim Instytucie w Aschabad, udało się grupie młodych fizyków pod przewodnictwem W. A. Fedosejewa, wytworzyć sztuczną mgłę i deszcz.

W okresie niesłychanej suszy, która w tym roku nawiedziła tyle krajów świata, zagadnienie sztucznego deszczu stało się paląco aktualne.

Pewnego majowego poranka mieszkańcy Aschabadu znaleźli się wobec zagadkowego zjawiska przyrody. Mimo pogodnego nieba, całe miasto było otulone gęstą, wilgotną mgłą. Mgła leżała przez cztery godziny nad miastem i rozpłynęła się dopiero w godzinach południowych. Później dowiedziano się, że chodziło tu o mgłę, wywołaną sztucznie dla wytworzenia deszczu.

Jeszcze bardziej interesujące były próby sztucznego uzyskania deszczu z przepływających chmur. Próby te nastąpiły jeszcze między marcem a kwietniem bieżącego roku. Najpierw dokonano prób z chmurami płynącemi na wysokości 350 — 1300 metrów. Samoloty kołchozów rozsiewały nad niemi preparaty chemiczne, częściowo w postaci proszków, częściowo zaś przy pomocy rozpylaczy. Po pięciu — siedmiu minutach można było z ziemi zauważyć, jak taka chmura stawała się coraz jaśniejsza i wkońcu przybierała barwę mlecznobiałą. Równocześnie na ziemię spadał deszcz. Zrazu były to tylko nieliczne krople, które potem przeszły w regularny deszcz. Podczas tej „akcji deszczowej“ chmury rozdzieliły się i znikły zupełnie.

Analiza chemiczna pierwszych sztucznie otrzymanych kropli deszczu wykazała obecność rozsiewanych z samolotów preparatów chemicznych. Dalsze jednak ilości wody deszczowej były zupełnie wolne od tych domieszek chemicznych. Sześćdziesiąt sześć procent doświadczeń miało ten sam rezultat.

W drugiej serji prób wytworzono deszcz na przestrzeni całego horyzontu. 15 do 20 minut

(Dokończenie na str. 9)

KSIĄŻĘ WALJI SKOŃCZYŁ CZTERDZIEŚCI LAT

NASTĘPCA TRONU BARDZO SIĘ ZMIENIŁ



Edward Dawid, książę Walji skończył czterdzieści lat. Poza rodziną królewską, przyjaciółmi księcia i gronem osób żądnych nowin, mało kto o tem wie: ten książę, który kiedyś obejmie władzę nad największem imperjum świata, niema dla społeczeństwa angielskiego lat.

Dla podziwiających go ludzi jest książę zawsze jednakowy: młodym człowiekiem uwielbiającym golfa, jazdę konną (jego wypadki niemało przyczyniły się do jego popularności), taniec i plażę.

Dla tych, którzy go znają bliżej, książę bardzo się zmienił. Z biegiem lat stał się skryty, a uśmiech jego, zamiast wyrażać zadowolenie, jakie przystoi księciu, stał się tajemniczy, a nawet pełen goryczy. Książę przestał uprawiać jazdę konną od czasu śmiertelnej choroby króla przed kilku laty. Powoli zaniedbuje golf. Tańczy coraz rzadziej, mimo że lubi jeszcze przyglądać się zabawie innych. Nie jest już tak wesołym kompanem jak dawniej i rzadziej widuje się go w Londynie. Ponad stolicę przekłada swoją rezydencję, Fort Belvedere, gdzie, poniechawszy sportów „uprawia swój ogródek".

Jeżeli wierzyć ludziom dobrze poinformowanym, zmiany tej nie trzeba przypisywać samemu tylko biegowi lat. Zdaje się raczej, że książę bardzo się przejął swemi przyszłemi obowiązkami, z którymi mógł się z racji choroby króla bliżej poznać.

Dawniej mówiono, że w razie śmierci ojca, nie wstąpi na tron, że nigdy nie wyrzeknie się tej wolności, którą sobie wytrwale zdobywał (gwałcąc często przepisy etykiety), i że prawa swoje przekaże młodszemu bratu, księciu Yorku. Dzisiaj nie mówi się już tyle o tem. Porzuciwszy swych dawnych młodych przyjaciół, książę woli obecnie ludzi poważnych, których towarzystwo może mu dać korzyści intelektualne, mimo że, w dalszym ciągu nienawidzi nudziarzy.

Kluczem jednak do rozwiązania zagadki, jaką w sobie nosi, jest tajemna przyczyna jego dotychczasowego celibatu. Przyczyny tej zdaje się nikt, poza księciem samym nie zna. Nigdy o tem z nikim nie rozmawia.

Kilka lat temu pozwalał na ten temat żartować w swojej obecności, ale teraz samo słowo „małżeństwo" potrafi go wprowadzić w gniew — a wszyscy wiedzą, że gniew księcia Walji nie zna granicy ani słów ani gestów.

Dodać trzeba, że nigdy, wzorem królowej Wiktorji pod koniec panowania, nie skarży się na samotność. Przeciwnie, bardzo ją lubi, stara się ją koło siebie stwarzać i to w taki sposób, że nieraz w ostatnich czasach oficjalni goście obrażali się spowodu małomówności księcia.

To rozmiłowanie w samotności niema jednak nic wspólnego z mizantropją. Książę lubi ludzi zwłaszcza prostych. Gawędzi bez końca ze swymi ogrodnikami, i szczęśliwy jest wtedy tylko kiedy może przebywać w Fort-Belvedere, ubierać się skromniej od służby w starą marynarkę i stare flanelowe spodnie, które wyciąga ze specjalnej szafy.

Pozatem zaś ma psy, z któremi spędza długie godziny. One też zapewne więcej mogłyby opowiedzieć o „sekrecie księcia Walji", niż większość jego bliskich.

„Aux Ecoutes", Paryż.

WIMBLEDON — KOPALNIA ZŁOTA

WIELKIE INTERESY TENISOWE

Opowiem wam o niebywale rentownej imprezie, jaką jest „Wimbledon z ogr. por." Jej rozwój jest nadzwyczajny. Jej prosperity zdumiewająca. Czternaście dni gorączkowej działalności daje corocznie dochód 30.000 funtów szterlingów.

W przyszłości, wobec dążeń do uczynienia z Wimbledon jeszcze większego centrum tenisowego, można się spodziewać jeszcze obfitszych dochodów i zarobków.

Wcale nieźle, jak na ściśle amatorską imprezę. Interes tenisowy nie wie, co znaczy kryzys. Z roku na rok dochody wzrastają.

Lawn tennis jest dziś najbardziej dochodowem widowiskiem w Londynie. Nie można tego już nazywać grą. Przynęta zysków handlowych zagraża sportowemu charakterowi tych rozgrywek. Turniej w Wimbledon jest poważną, ale zwykłą sprawą dla współzawodników. Dla L.T.A. (Lawn Tennis Association) oznacza on wielki interes. Nie szczędzi się żadnych trudów, by zapewnić tej imprezie sukces finansowy.

Turniej musi koniecznie być międzynarodowy, w przeciwnym bowiem razie zainteresowanie zmniejszyłoby się, co oznaczałoby mniejsze dochody kasowe. Zaproszenie na ten wielki turniej rozsyła się do tenisistów we wszystkich krajach, w których gra w tenisa przekracza poziom gry w palanta. L.T.A. płaci większej części współzawodników koszty podróży i utrzymania w Londynie. To jest dobry interes. Kilkaset funtów w ten sposób wydanych daje grube tysiące. Tak wygląda „rakieta"*) tenisowa.

Paradoksem tej wielkiej organizacji handlowej jest to, że kładzie ona przedewszystkiem nacisk na amatorstwo współzawodników. Naiwny amator jest źródłem wielkich zarobków.

L.T.A. wie bardzo dobrze, że w Anglii publiczność płaci tylko za mecze tenisistów, którzy są, albo, których się uważa za amatorów. Niewiadomo z jakich powodów publiczność nie chodzi na mecze graczy zawodowych.

Amatorstwo jest zabawną sprawą, tak zabawną, że zakrawa na farsę. Tenisista pozostaje amatorem, jeżeli pisze ogólnikowe artykuły na temat gry w tenisa, przestaje nim jednak być, jeżeli napisze komentarz do turnieju tenisowego. Gracz musi uważać, by rozsądnie wydać pieniądze ze swojej nagrody, która wynosi około 10 funtów. Kiedy zwycięstwo jest panem zapłaconym z pieniędzy nagrody, — to akt zawodowca, kupienie maszyny do szycia za te pieniądze utrzymuje jeszcze gracza w stanie amatorstwa.

All-England Lawn Tennis Ground ltd. powstała jako spółka akcyjna z kapitałem zakładowym Ł. 10.000. Sprawozdania rejestru handlowego wykazują, że przeszło 80 pr. z tego znajduje się w posiadaniu jednego człowieka. Jest to Sir Herbert Wilberforce — adwokat.

Na rozbudowę sławnych kortów, zaciągnięto pożyczkę Ł. 125.000 w formie obligacyj. Około połowy pieniędzy pożyczonych już spłacono. Za kilka lat obligacje będą zupełnie spłacone.

Nie należy sobie wyobrażać, że gracze korzystają w jakiejkolwiek mierze z tych dochodów. To są właśnie tylko gęsi, które znoszą złote jajka. Wielu z nich wolałoby te jajka również zjeść, ale od tego jest L.T.A., by temu zapobiec.

Gęsi mogą gęgać i trzepotać skrzydłami, będą one nadal znosiły złote jajka. Już gęgają spowodu drogich biletów wstępu, wynoszących 35 szylingów za trzykrotne wejście na trybuny. Gęgają spowodu małej ilości wolnych biletów wstępu, przydzielanych im. Ilość ta maleje zresztą z roku na rok. Gęgają spowodu zimnych śniadań. Zagraniczne gęsi lubią gorące potrawy w zimne dni. Nie mogą ich dostać. Zimny łosoś, zimne kurczęta i marynaty owocowe stanowią menu codzienne.

Wimbledon jest jedynym turniejem, gdzie współzawodników nie informuje się, którego dnia mają występować. Takie indywidualne informowanie pociągnęłoby za sobą zorganizowanie aparatu biurowego, no i oczywiście wydatki na znaczki pocztowe. Dlatego uczestnicy turnieju są zmuszeni do informowania się z gazet.

L.T.A. poniosłaby wielką stratę, gdyby gazety nagle przestały interesować się turniejem w Wimbledon i przestały reklamować go bezpłatnie.

W roku bieżącym L.T.A. przyjęła, na podstawie nowego układu, odpowiedzialność finansową za utrzymanie kortów All-England za pensje, wynagrodzenia i odsetki od obligacyj. W zamian za to L.T.A. otrzymuje 50% akcyj kortu Wimbledonskiego — i inkasuje cały dochód z turniejów o mistrzostwa w Wimbledon.

„The Sunday Express" Londyn.

*) *„Racket" w żargonie amerykańskim nazywa się zorganizowany wyzysk publiczności.*



— *Szef jest wściekły. Powiedział mi, żebym się powiesił.*

— *Kiedy jest w takim humorze, najlepiej zrobić tak, jak on każe.*

„Gazzatino Illustrato, Wenecja.

Sztuczny deszcz w Aschabadzie

(Dokończenie ze str. 8)

rozpylania dały deszcz na przestrzeni przeszło 20 kilometrów kwadratowych. Zużycie chemikaljów na wytworzenie deszczu było minimalne, około 16 kg. na kilometr kwadratowy.

Instytut turkmeński posiada, według jego własnych informacyj, niezawodny sposób na wywoływanie deszczu i mgieł, jak i na przerywanie zbyt długo trwających opadów atmosferycznych. Sztuczną mgłę wytwarza się w sposób następujący: Od strony wiatru ustawia się naczynia napełnione preparatem chemicznym, który zapala się. Przy spalaniu się preparat ten wytwarza gazy, które wysysają wilgoć z powietrza i łączą ją w malutkie cząsteczki mgły. Prąd powietrza zbija te cząsteczki w małe obłoczki, przez co powstaje mgła. Wstępując na teren taką mgłą objęty, czuje się wilgoć zupełnie wyraźnie.

Sztuczne mgły w Aschabad wywołano podczas pięknej pogody i przy minimalnej wilgoci powietrza. Na podstawie tego można powiedzieć, że wytwarzanie sztucznych mgieł i chmur deszczowych jest zupełnie niezależne od stanu pogody. Bo zasadniczo różnica między mgłą a chmurą polega tylko na tem, że mgła kładzie się na ziemi, podczas gdy chmura unosi się w powietrzu. Poddając sztucznie wytworzoną chmurę temu samemu działaniu co naturalną, należy się spodziewać, że będzie można i z niej deszcz otrzymać.

Instytut turkmeński rozwiązał swoje zadanie — uzyskanie deszczu z chmury naturalnej — na pierwszego maja doskonale. W jesieni spodziewają się, że uda się uzyskać deszcz i z chmury sztucznej. Wynalazek ten może mieć przełomowe znaczenie dla rolnictwa całego świata.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

ZAGUBIONA KARTKA CHLEBOWA PRZYCZYNĄ ODŁOŻENIA POGRZEBU NA CZTERY DNI

Zagubiona kartka chlebowa stała się w Swierdłowsku w Rosji przyczyną odłożenia pogrzebu pewnej staruszki na cztery dni i zmusiła jej syna do złożenia fałszywego zeznania w celu uzyskania zezwolenia na pogrzeb.

Miejski urząd rejestracyjny odmówił wydania zezwolenia na pogrzeb przed zwróceniem kartki chlebowej. Profesor Mikołaj Zacharow z Akademji Handlowej w Swierdłowsku, syn zmarłej, i inni jej krewni napróżno szukali w jej rzeczach dokumentu.

Prof. Zacharow zapewniał, że jest człowiekiem honoru i że nie będzie używał kartki, gdyby ją nawet udało się znaleźć, ale biurokraci nalegali na przesunięcie daty pogrzebu aż do odnalezienia kartki.

Wkońcu, doprowadzony do rozpaczy stanowiskiem urzędników, prof. Zacharow złożył przysięgę, że matka wogóle nie posiadała takiej kartki i w ten sposób wreszcie biurokracji stało się zadość.

„The Sun", Nowy Jork.

POTOMKOWIE MONTEZUMY BEZ RENTY

MEKSYK ODBIERA JĄ PO 400 LATACH

Pensja dożywotnia jest rzeczą dość często spotykaną. Ale pensja, którą wypłaca się przez 400 lat, to rzecz wyjątkowa. W przekonaniu rządu meksykańskiego 400 lat to czas dostatecznie długi, dla płacenia pensji, nawet kiedy spensjonowany jest ex-cesarzem.

Pensja, o której mowa, wypłacana jest rodzinie Montezumów. Montezumowie byli kiedyś cesarzami Meksyku. Przed czterystu laty.

Montezumowie byli Aztekami: czemś w rodzaju Indjan. Nikt jednak nie wie, skąd pochodzili i kiedy powstała w Meksyku ich wysoka cywilizacja. Montezumowie panowali nad krajem przez całe generacje. Potem nastąpił podbój Meksyku przez hiszpańskich korsarzy pod wodzą Corteza. Napastnicy, mimo że dźwigali na sobie zbroje stalowe zupełnie nieodpowiednie w klimacie meksykańskim, zdołali w pień wyciąć Azteków.

Meksyk został przyłączony do Hiszpanji. Cortez — zdobywca, postanowił być wspaniałomyślny. Zwrócił się do króla Hiszpanji o pozwolenie przyznania pensji Izabelli Montezuma, córce poprzedniego cesarza. Król hiszpański zgodził się. Cortez dokonał pierwszej wypłaty i zarządził, aby pensja była dziedziczna.

Pensja była zatem wypłacana aż do niedawna. Przed kilku miesiącami meksykański minister skarbu przeglądając budżet, stwierdził, że wydatek ten jest niepotrzebny i nieproduktywny i oświadczył, że wypłata pensji zostanie przerwana.

Wtedy okazało się, że w chwili obecnej żyje nie mniej, niż 300 potomków Montezumów, którzy wszyscy utrzymują się z pensji. Zaczęli się głośno skarżyć. Sprawa poszła do Sądu Najwyższego w Mexico City.

Teraz czeka ich niedobra nowina. Sąd Najwyższy poparł bowiem ministra skarbu i, po czterech wiekach, potomkowie Montezumów będą się musieli obejrzeć za pracą.

„The Clarion", Londyn.

Portret Alfreda Savoir'a



Często śmierć jest najsprawiedliwszą miarą życia.

Kiedy bowiem uderza brutalnie i zdecydowanie, jak nagle opuszczona kosa, pozwala na ocenę działalności i znaczenia tego, którego zabiera. Ona dopiero wyznacza mu właściwe miejsce, określa zasięg wpływu.

Czyni to w sposób najprostszy, nie podlegający dyskusji — i dlatego tak bardzo okrutny. Pustka, nieobecność, brak są jej narzędziami. Zrywa się nagle coś, co było stałe, co było konieczne dla wewnętrznej równowagi. Coś, do czego zdążyliśmy się przyzwyczaić tak bardzo, że nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wielką miało wagę, jak zawsze już teraz odczuwać będziemy brak.

Nikt z tych, którzy znali i spotykali Alfreda Savoir'a, nie może się nie poddać temu uczuciu prawie fizycznego bólu, tej potrzebie widzenia raz jeszcze, usłyszenia człowieka, którego już niema.

Przez śmierć jego cała sfera odczuwania i dowcipu pustoszeje i jest zburzona. I ma się pewność, zupełną a gorzką, że nikt nie zajmie tej pustej przestrzeni, poświęconej odtąd pamięci człowieka, który swą oryginalnością, odważnym dowcipem i wyjątkowemi zdolnościami nie miał sobie równego.

*

Alfred Savoir miał dziwną twarz. Wysokie i młodzieńcze czoło, świadczące o wielkiej inteligencji, i przedwcześnie osiwiałe włosy stanowiły pierwszy kontrast. Oczy pełne zapału i nonszalancji, przenikliwe, drwiące a przytem smutne, wyrażały w jednej sekundzie mnóstwo myśli skłębionych i różnorodnych.

Wąsy, pod lekko zgarbionym nosem były bardzo czarne i dziwnie wyglądały przy siwiźnie włosów. Zmysłowe, spłaszczone wargi odkrywały zęby drapieżne, stworzone na to, żeby rozdzierać i gryźć, chwytać zdobycz i nie wypuszczać.

Połowa tej twarzy, przez żywość wyrazu, szybkie spojrzenia oczu należała do Europy. Druga połowa, o szerokich kościach policzkowych, drapieżna i wyniosła, przypominała Azję. Tak więc genjusz Savoir'a, jego zadziwiające pomysły, zapalczywe maksymy, odosobnienie i wyjątkowa werwa od najwcześniejszej młodości wyrzeźbiły rysy.

*

Pochodził z Polski, gdzie ojciec jego należał do największych przemysłowców żydowskich w Łodzi. Ale zaledwie dotknął przed wojną ziem francuskiej, poczuł się w swoim prawdziwym klimacie, w prawdziwej ojczyźnie. Walczył za nią, kiedy przyszła godzina, i zaciągnął się do wojska jako lotnik-pilot.

Nieraz próbowałem wyciągnąć go na opowiadania o bitwach, które mu przyniosły odznaczenia. Zawsze napróżno. Wykręcał się jakąś niezwykłą asocjacją myśli, lub jednym z tych dowcipów, dziwacznych a trafnych, w których celował. Nie sądzę, żeby to robił przez skromność. Uczucie to, jak wiele innych, rozumiał na swój sposób i przenosił na płaszczyznę, należącą tylko do niego w której panowała wielka skrytość, zawzięta wola utrzymania powagi, tak własnej jak i poglądów, jakie miał na życie i jego aktorów.

Ta wrodzona postawa wobec życia, wzmocniona jeszcze wysiłkiem przedziwnej inteligencji nadała dziełom jego ten wyraz, tę jadowitą przenikliwość i tę świeżość, którą ze sobą wnosiły.

*

„Trzeba wesoło znosić czas, który mija, mówił Savoir. Nie zasługuje bowiem na inne traktowanie — i to jest leitmotywem wszystkich moich sztuk.

„Nie trzeba życia brać poważnie. Pomaga nam w tem nasza epoka, której symbolem jest w moich oczach wielki Charlie Chaplin. Wszystko jest znikome i bez znaczenia. Kiedy byliśmy dziećmi, uczono nas, jak znikome są dobra tego świata. Ale panowała wtedy powaga: renty, hipoteki, pieniądze były prawdami tak stałemi, że wydawały się wieczne. Przyszła wojna. I co pozostało? Doskonała beztroska, stała niepewność, żądza użycia.

„Obyczaje mieszczańskie, zbudowane na oszczędności i przewidywaniu, są zburzone. Oszczędność jest mitem i nikt nie jest głupi, żeby być przewidujący. To nadaje naszej epoce wyraz, jedyny i cudowny. Tej epoce rozdartej a beztroskiej potrzebna jest nowa, dostosowana do niej filozofja, potrzebne są pomysły, może nawet w swej istocie bolesne, ale o wesołych pozorach.

„Dlatego sztuki moje są skonstruowane tak lekko, wbrew ścisłości i prawdopodobieństwu. Chciałbym w nich jednak dawać coś więcej: zabawę i, jeżeli to możliwe, głębię.

„Dla połączenia tych dwóch elementów, dla osiągnięcia dawek, któreby się równoważyły, wymyślam wesołą anegdotę na niewesoły temat. To jest formułka moich wszystkich sztuk".

*

Cóż mogę dodać jeszcze do tych słów, teraz brzmiących, niestety, zza grobu?

Alfred Savoir w okresie powojennym, który teraz zamyka się przeczuciem nowego niepokoju, miał tę rolę, którą sam sobie wyznaczył.

Lista jego sztuk jest długa, błyskotliwa a trwała. „Banco", „Szwaczka z Luneville'u", „Wielka księżna i chłopiec hotelowy", „On", „Mleczna droga"... tyle innych jeszcze... Przyszłość lepiej, niż my, wyznaczy należne im miejsce. Nam brak jeszcze potrzebnej perspektywy.

Ale już teraz można powiedzieć, że Savoir był zapewne największym autorem komedjowym swoich czasów, bo najbardziej bezwzględnym, najbardziej wyrafinowanym, o największej wyobraźni. Karczował teren, na który weszło po nim, nie przyznając się do tego, tylu innych, uboższych w inwencję i w siłę twórczą.

Był szlachetny w myślach i szczodry. Nigdy nie miał kłopotów materjalnych. Nieznana mu była pospolita ambicja. Uśmiechał się odważnie do swoich wrogów, sympatycznie do przyjaciół.

Ileż miłych wieczorów spędziłem z nim ci, których dopuszczał do swego stołu! Miał wyjątkową zaletę: umysł żywy i pełen dowcipu, a jednocześnie pełen prostoty i trafności w sądach.

Joseph Kessel, „Gringoire", Paryż.

Historyjka szkocka

Mac Gregor, właściciel uniwersalnego magazynu w Edynburgu, leży na łożu śmierci. Udziela ostatnich rad synowi, swemu jedynemu spadkobiercy:

— W interesach potrzebne są dwie zalety: uczciwość i ostrożność.

— Co nazywasz uczciwością, ojcze? — pyta młody Ramsay.

— Zawsze dotrzymywać swoich zobowiązań.

— A co, ojcze, nazywasz ostrożnością?

— Nigdy nie zaciągać żadnych zobowiązań.

„Marianne", Paryż.

Dobroczyńca ludzkości



Ze śmiercią Pani Curie odchodzi jedna z najzaszczytniej w dziejach nauki zapisanych, najromantyczniejszych i najbardziej umiłowanych postaci. *Marja Skłodowska* urodziła się dla nauki, lecz jak to się już nieraz pracownikom naukowym zdarzało, wstąpiła za czasów studenckich w Warszawie do rewolucyjnej organizacji. Na szczęście dla nauki udało się jej wydostać się najpierw do Krakowa, a potem do Paryża.

Jej małżeństwo z Piotrem Curie jest symbolem zbliżenia narodów przez naukę, a późniejsze ich pożycie stanowi w rocznikach nauki jeden z najszczęśliwszych przykładów harmonijnej współpracy. W roku 1898 w ślad za odkryciem działalności promieniotwórczej przez Becquerel'a, dokonała ona na złożach mineralnych oddanych jej do dyspozycji przez rząd austrjacki swoich wielkich odkryć, którym świat zawdzięcza Polonium i Rad, za co imię jej będzie sławione na wieki.

Mało ludzi widziało owoce swojej pracy w tej mierze, jak jej to było dane. Odkrycie Radu zapoczątkowało zdumiewający rozwój fizyki nowoczesnej, a równocześnie otwarło ono rozległe horyzonty w medycynie. Tysiące ludzi jej zawdzięcza ulgę w swych cierpieniach. Świat wyraził jej swoją wdzięczność i uznanie w niezliczonych zaszczytach, z których nazwanie jednostki dawkowej radu jej imieniem nie jest najmniejszym. Lecz największą nagrodą dla niej jest świetna współpraca jej córki p. Joliot, dzięki czemu kierunek badań zmarłej uczonej będzie w jej własnej rodzinie kontynuowany i ulepszany.

„The Times", Londyn.

Wspaniałe dzieło o znaczeniu cywilizacji

„Studjum nad historją". Arnolda J. Toynbee, Oxford University Press.

Byłoby zarozumialstwem starać się krytykować książkę taką w kilka dni zaledwie po jej ukazaniu się; conajwyżej można się postarać ją streścić.

Jest to niewątpliwie wielka książka. Wielka, nietylko jeżeli chodzi o objętość (obecnie wydane trzy grube tomy stanowią tylko trzy pierwsze części całości, która ma się składać z 13 części), jest wielka przez swoją koncepcję i przez pewnego rodzaju atletyzm wiedzy autora, który łatwo przenosi się od starożytności do naszych czasów, od geografji do filologji; wielka przez siłę przekonania, narzucania swego światopoglądu i działania na poglądy czytelnika. Jest to nietyle praca historyczna, ile raczej „prolegomenon do przyszłej historji", ponieważ, po przeczytaniu tej książki żaden historyk nie potrafi patrzeć na rzeczy temi samemi oczyma co przedtem.

Książka przypomina trochę Spenglera: „Untergang des Abendlandes", ale jest daleko bardziej trzeźwa i objektywna, mimo, że niemniej żywa i pobudzająca do myślenia. Przypomina także trochę Buckle'a słynną „Historję cywilizacji", ale nad sławnym wiktorjaninem góruje Toynbee wiedzą i wyobraźnią.

Książka zaczyna się od potępienia starego zwyczaju wybierania narodowych państw, jako podmiotu historji. Narody nie tworzą „nierozdzielnych jednostek". Poszukiwanie tych jednostek powadzi do koncepcji „cywilizacji", albo jak to Spengler nazywa „kultury". Jest pięć współczesnych odmian takich jednostek: ludzie Zachodu (Europa Zachodnia plus Ameryka), Chrześcijanie obrządku wschodniego (Rosjanie, Grecy etc.), wyznawcy Islamu, Hindusi, i ludy Dalekiego Wschodu. Historja mówi nam o jeszcze siedemnastu, o Helleńczykach (Greko-Rzymianach), Syryjczykach, Hittytach, Egipcjanach, Chińczykach, Meksykańczykach i wskazuje, że „w ich początkach są wszystkie albo niektóre ze znamion, jakie przywykliśmy widzieć w zaczątkach naszych zachodnich społeczeństw: Państwo uniwersalne, uniwersalny kościół, wędrówka narodów".

Niektóre z nich są spokrewnione ze sobą, tak jak my z kulturą helleńską, inne wcale nie. Następuje to, kiedy jakieś państwo rozpada się w gruzy, za pośrednictwem kościoła czy religji, która wyraża pragnienia i tęsknoty proletarjatu czy innych klas upośledzonych: za przykład możnaby tu podać kult Ozyrysa, który powstał w Egipcie po pierwszym okresie zamętu, albo chrześcijaństwo, powstałe wśród niewolników na wschodzie, w świecie grecko-rzymskim.

Każde cywilizowane społeczeństwo ma swój własny rodzaj porządku społecznego, czy rządzenia się, swoją sferę wpływów i swoją religję. „Cywilizacja jest tragedją o powikłanej intrydze", uragi więc i trzeci tom dzieła poświęcone są rozpatrywaniu początków cywilizacji i jej rozwojowi. P. Toynbee kładzie większy nacisk na przeszkody, które zmuszają człowieka do pokonywania ich nawet za cenę życia, niż na sprzyjające okoliczności, które ułatwiają powodzenie. Uważa, że naszej zachodniej cywilizacji grozi niebezpieczeństwo nietylko ze strony niezdrowych i nieuleczalnych, jak się zdaje, nacjonalizmów, prowadzących zawsze do wojen i wzajemnej żebraniny, ale ze strony głębokiej wewnętrznej niezgody, która we wszystkich narodach nastąpiła po Wojnie Światowej oraz z braku wartości duchowych, który powstał dzięki zbytniej koncentracji w kierunku rozwoju maszynizmu i dóbr materjalnych. Zaznacza także, że podczas gdy narody europejskie zajęte są kłótniami i zazdrością na temat „równowagi sił", wyrastają poza niemi narody czy zbiorowiska narodów, które nauczyły się europejskich metod fabrykacji i przemysłu, nie mówiąc już o sztuce wojennej, i wkrótce dotkliwie porażą dotychczasowych przywódców cywilizacji.

Omawiając wielki zasób nauki, nagromadzony w tej książce, nie należy pomijać milczeniem nuty głębokiej poezji, a nawet mistycyzmu, która w niej dochodzi do głosu. W całem dziele swem P. Toynbee stara się zwalczać mechanistyczny punkt widzenia i kładzie nacisk na wielkie znaczenie czynnika duchowego w historji ludzkości. Od czasu do czasu, dla tem lepszego podkreślenia tego czynnika, przytacza rozmaite legendy i czytelnik nagle musi zwrócić się od wykładu „wpływów klimatu" do legendy o Fauście czy o Hyppolycie. Możliwe, że krytyk jest pod świeżem wrażeniem tej niezwykle interesującej książki; ale jego zdaniem, jest to książka o wielkiem znaczeniu intelektualnem.

Prof. Gilbert Murray. „The Observer", Londyn.

Poczta w raju

Pewnego dnia, poeta Mallarmé znalazł list, pisany przez jego małą wnuczkę i zaadresowany:

Do Bozi

W niebie.

Przyjacielowi, który go zagadnął, co zrobił z tem osobliwem pismem, odpowiedział poeta.

„Cóż ja mogę wiedzieć? Wrzuciłem list do skrzynki".

„Vendémiaire", Paryż.

Dramat małżeński w Tunisie

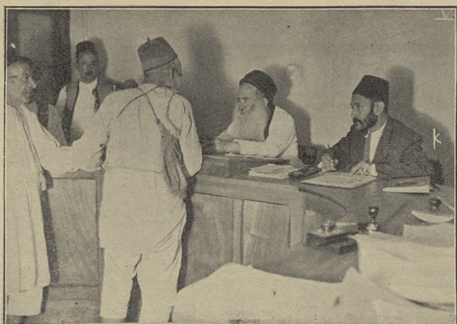
Zdrada z teściem srogo ukarana

Jest jeszcze wiele krajów na świecie, gdzie wiarołomstwo uważane jest za przestępstwo i gdzie sędzia, niepodobny do naszych sceptyków, nie uśmiecha się w wypadkach zdrady.

Żeby tego dowieść, nie trzeba jechać daleko. Wystarczy udać się do Tun'su, do trybunału miejscowego w Driba, który jest czemś w rodzaju wyższego sądu pokoju, gdzie sądzą spory cywilne i przestępstwa.

Mimo upału, na sali panuje niesłychany ścisk. Sprawa, którą ma sądzić przewodniczący Mohammed ben Amar, człowiek równie mądry, co uczony, i dwaj jego asesorowie — jest rzeczywiście sensacyjna.

Gaston Zana, żydowski kupiec oskarżył swoją żonę, Wandę Bambaron, że go zdradziła. I to z kim zdradziła? Ze starym Jakóbem Zana, rodzonym ojcem Gastona! Stary Jakób ma 84 lata. Kiedy w piątek wieczorem udaje się na modlitwę do synagogi, jest tak zgarbiony, że prawie się przewraca. Czyżby go miłość zdołała wyprostować?



Na sali, ten starzec stojący nad grobem, patrzy na współoskarżoną rozkochanym wzrokiem dwudziestoletniego młodzieńca.

Wanda mogłaby być oczywiście jego córką. Jest od niego o dwadzieścia lat młodsza. To znaczy, że liczy sobie 64 wiosny. Sześćdziesiąt cztery lata, to już wiek, kiedy Fryne może podać się do dymisji, chyba... że chce zostać gwiazdą music-hallu w Paryżu.

Gaston Zana, ofiara, przysięga na Boga Abrahama, Izaka i Jakóba, że mówić będzie prawdę. Prawda zaś jest dość smutna

Gaston Zana: — Pewnego ranka, wróciwszy niespodzianie z podróży, zastałem w mieszkaniu mojem ojca. Nie zdziwiło mnie to, ponieważ mieszka on z nami, ale zastanowiła mnie jego zmieszana mina i fakt, że chodził bez kapoty, w samej tylko koszuli.

Przewodniczący: — A żona?

Gaston Zana: — Ona była jeszcze mniej ubrana. Łóżko było rozesłane... Powiedziałem Wandzie: „Masz młodego i pięknego kochanka, a ojciec mój przez dobroć nic mi nie chce o tem mówić. Ale dlaczego i ojciec jest rozebrany?" Żona odpowiedziała mi: „Moim kochankiem nie jest młody człowiek. Jest nim twój ojciec". Zdawało mi się, że śnię, kiedym to usłyszał.

Przewodniczący: — Czy żona wyznała ci wszystko?

Gaston Zana: — Wyznała mi, że rzeczywiście, oddawna była kochanką tatusia.. A ja, głupi, cieszyłem się, że tak zgodnie ze sobą żyją!

Przewodniczący: — Kiedy na tym padole sprawy układają się za dobrze, to zły znak.

Gaston Zana: — A czy nie należy ufać ojcu, kiedy jest człowiekiem tak nabożnym?

Przewodniczący: — Wstań, Jakóbie. Czy się nie wstydzisz swego postępowania?

Jakób: — Bóg mi świadkiem, że jestem ofiarą konszachtów mojego syna i mojej synowej. Chcą wtrącić mnie do więzienia, ażeby zagarnąć majątek.

Przewodniczący: — Chytry starcze, jeżeli pójdziesz do więzienia, synowa musi iść z tobą. Coby jej przyszło zatem z pieniędzy? Zresztą możesz się bronić jak ci się podoba.

Zbliża się świadek, któremu całe audytorjum okazuje wyraźny szacunek. To rabin synagogi, w której modli się Jakób.

Ten szanowny człowiek wyraża się z prawdziwym smutkiem. Wanda Bambaron, która wyznała swój grzech... swoje liczne i codziennie popełniane grzechy mężowi przed nim nie chciała się przyznać do niczego.

Po tem pełnem umiaru i taktu zeznaniu, następują zeznania kumoszek z miasteczka. Znęcają się z wyraźną przyjemnością nad biednym Gastonem! Całe miasto przecież wiedziało, że Wanda okazywała swemu teściowi większe oddanie, niż synowej przystało. Trzeba było widzieć jak się obejmowali na tarasie domu! A czy starzec pieścił ją tylko jak teść? Doprawdy, Gaston Zana był pewnie chory na oczy!

Mecenas Mokkadem z Tunisu, adwokat zdradzonego męża oświadcza, że klient jego, który jest powodem cywilnym, tak dalece jest bezinteresowny, że żąda tylko symbolicznego franka tytułem odszkodowania za straty moralne.

— Klient mój, mówi, nie zawahałby się co wybrać: szczęście w niedostatku, czy też obecny stan rzeczy, który go pozbawia żony i szacunku należnego ojcu.

Po godzinnej naradzie, trybunał w Driba przyznał zdradzonemu mężowi symbolicznego franka i skazał Jakóba Zana i Wandę Bambaron na trzy lata więzienia każde.

Kumoszki komentują wyrok:

— Tylko trzy lata! Dlaczego sędziowie są tak łagodni! Dawniej takim kobietom podważano drzewem paznogcie, wiązano je w jednym worku z dzikim kotem i wrzucano do morza... Ta Wanda naprawdę... to... kino ją zgubiło...

Geo London. „Gringoire", Paryż.

Małpie bliźnięta

Pani Ovila Dionne jest trzydziestą pierwszą w dziejach ludzkości matką, która powiła pięcioraczki. Do Orange Parku, należącego do doświadczalnej stacji antropologicznej w Yale, w zeszłym tygodniu przybyła pewna matka, któraby mogła słusznie być zazdrosna o rozgłos, otaczający panią Dionne i jej potomstwo, pobiła ona bowiem rekord, jedyny w dziejach



biologji. Matką tą jest Mona, dwudziestoletnia szympansica. W czerwcu zeszłego roku powiła bliźnięta, samczyka i samiczkę. Ojcem był jedenastoletni szympans, przywieziony z Afryki przez pewnego żeglarza. Mona 15 lat swego życia spędziła na małpiej fermie w Hawanie i trzy razy była już matką. Jedna z jej córek jest pierwszą szympansicą urodzoną pod dozorem, ze znanych rodziców, która w niewoli dojrzała seksualnie.

Narodziny małp w niewoli należą do rzadkości. Robert Mearns Yerkes, profesor psychobiologji w Yale i dyrektor stacji doświadczalnej w Orange Parku, na podstawie dokumentów twierdzi, że Mona jest jedyną dotychczas znaną samicą z gatunku wielkich małp, która urodziła naraz więcej niż jedno młode. Dr. Yerkes nie ręczy oczywiście za to, co zdarza się w dżungli. Ale kiedy dzika samica opiekuje się dwoma młodymi, nie można mieć nigdy pewności, czy rzeczywiście urodziła którekolwiek z nich. Mimo, że urodzone przedwcześnie, bliźniaki Mony są równie normalne i zdrowe jak inne młode szympansięta.

„Time", New-York.

Butelki, jako broń w walce z przemytem alkoholu

Piętnaście lat istniał przemytnik alkoholu jako eksploatator publiczności amerykańskiej, przeciwstawiającej się niepopularnemu prawu prohibicji. Zdawałoby się, że zniesienie tego prawa wypleni „bootleggera". Ostatni jednak wniosek przedłożony „Federal Alcohol Control Commission" (Komisja Związkowa Kontroli Alkoholu) mający na celu ukrócenie niedozwolonego handlu, przedstawia „bootleggera" jako czynnego i może lepiej niż kiedykolwiek prosperującego fałszerza alkoholu na bezprzykładnie wielką skalę.

Fałszerstwo to polega na posługiwaniu się podrabianemi butelkami, korkami, kapslami i etykietami, albo też na używaniu nieuszkodzonych oryginalnych butelek z oryginalnemi etykietami.

PRZEPISY NA ZWALCZANIE FAŁSZERSTW.

Lekarstwa zaordynowane dowodzą, że sytuacja jest groźna. Żądają one, aby każdą butelkę zaopatrywano w dęty albo odlany w szkle numer lub znak fabryczny wytwórcy, dystylatora czy rektyfikatora, dla którego są przeznaczone.

Do 1920 roku główna czynność bootleggera polegała na niepłaceniu podatków, za pomocą sprzedaży trunków „luzem", albo też na przemycaniu dozwolonych zapasów z „mokrych" terytorjów, do „suchych". Podczas jednak prohibicji — możność uzyskania wyższych cen za lepsze gatunki whisky, wódek i dżin'u stworzyła fałszowanie, które stało się stałem zajęciem bootleggera. Zniesienie prohibicji zastało go już jako wykwalifikowanego fałszerza, nie usunęło przytem powodów uprawiania tego procederu.

Zdarza się nieraz, że wytwórca trunków jest byłym bootleggerem. Nie ma nic przeciwko temu, by tanio kupować trunki od swych dawnych wspólników, którzy albo nie potrafili stać się „legalnymi", albo woleli nimi nie zostać... W większości jednak wypadków, jest to uczciwy fabrykant, który nie mając prohibicyjnego doświadczenia, daje się oszukiwać i bierze podrabiany towar, zaofiarowany mu po zachęcającej cenie.

ZDOBYWANIE BUTELEK

Historja otrzymywania butelek, etykiet, kapsli i korków przez fałszerza jest bardzo skomplikowana.

W Stanach Zjednoczonych istnieje teraz tylko czterdzieści osiem fabryk butelek. Bootlegger może otrzymać butelki legalnie. Teoretycznie flaszki do whisky albo wina mogą być użyte do płynów w rodzaju denaturatu albo terpentyny... Fabrykant może sobie żywić swoje podejrzenia, nie powinien jednak wnikać zbyt głęboko w zamiary swego klienta...

I dystylatorzy i fabrykanci butelek twierdzą zgodnie, że stara butelka jest obecnie główną podporą bootleggera. Napływ legalnych ładunków z zagranicy i pojawienie się legalnych, domowych wielkich ilości zapasów — jest niewyczerpanem źródłem próżnych butelek, których zbieranie jest świetnie zorganizowane dla wygody „nielegalnych" kupców.

Sklepy ze starzyzną płacą wielkim domom, klubom i hotelom dobre ceny za używane butelki; gromadzi się je w piwnicach aż do chwili zapotrzebowania. Potem sortuje się je według gatunków a fałszerz musi tylko kupić co mu trzeba oraz dostarczyć odpowiednich korków, kapsli i etykiet. W wielu wypadkach etykiety są na butelkach w dobrym stanie, wtedy butelka trzeba postarać się o kapsel i korek. Jest to stosunkowo łatwa sprawa. Chociaż większość fabrykantów kapsli nie chce pracować dla podejrzanych odbiorców — niektórzy się przed tem nie cofają. Etykiety może sporządzić każdy drukarz — a jest ich legjon!

Z tego widać, że tylko butelka może stanowić najlepszą broń w walce z fałszerzami. Numer lub znak fabryczny dystylatora i fabrykanta, dęty albo odlany w szkle butelki — oto ostatni plan redaktora gazety dystylatorów.

Wydaki z tem związane będą znikome a dostarczą wzamian państwu jako poborcy podatkowemu dochodów; uprawnionemu fabrykantowi możności obrony swych interesów, a publiczności — pewności jakości konsumowanych trunków.

Gromadzenie starych butelek uważane będzie za niedozwolone. Agenci rządowi będą mieli prawo sprawdzania produkcji i ładunków okrętowych, a w pierwszej linji będą mieli prawo poszukiwania i niszczenia butelek, gromadzonych w piwnicach hotelowych, klubowych lub w składach starzyzny.

Ten dziwaczny projekt nie był zbyt życzliwie przyjęty. Komisja Kontroli Alkoholi otrzymała już szereg protestów od wytwórców trunków, a otrzyma ich niewątpliwie i więcej i od fabrykantów butelek.

Opinja publiczna domaga się jednak stanowczo, aby butelka stanowiła środek walki z fałszerzami.

„The New York Times" Nowy Jork.

Poproś drugiego

W całym Wiedniu kolportowana jest obecnie anegdota o znanym działaczu socjalistycznym, któremu udało się przed kilkoma tygodniami uciec przed terorem, który jednak ostatecznie został zaaresztowany i osadzony w więzieniu.

Po kilku godzinach zdołał zaprzyjaźnić się z dozorcą. Rozmawiali o różnych sprawach, aż więzień, widząc, że dozorca jest dla niego przychylnie usposobiony, zwrócił się doń otwarcie z pytaniem, czy nie zechciałby przemycić listu z więzienia.

Dozorca spojrzał na więźnia groźnie.

„Czy Pan jest socjalistą — zapytał — czy nazi?"

„Jestem socjalistą".

„W takim razie" — odpowiedział dozorca — „będzie Pan musiał zwrócić się w sprawie tego listu do drugiego dozorcy. On jest socjalistą. Ja jestem hitlerowcem".

„The Clarion", Londyn.



Jak ja lubię pogrążyć się w książce...
„Hooey", Nowy Jork

Gangsterzy chicagoscy biorą się do polityki

Alarmujących dowodów odrodzenia AlCaponizmu w Chicago dostarczyć mogą świeże odkrycia z wyborów kwietniowych. Dawni wspólnicy Al Capone'a, który spędza obecnie czas w więzieniu w Atlanta, mają plan zdobycia reprezentacji w rządzie stanu Illinois : że plan ten jest w drodze do realizacji. Dwa fotele w senacie i pięć miejsc w izbie reprezentantów są podobno celem tych zamysłów. W toku są protesty w Sądzie Stanowym dla obalenia nominacyj, które w kilku przynajmniej wypadkach, zostały osiągnięte zapomocą teroru i przekupstwa.

Następujący fakt ilustruje czem bywa czasem polityka w Chicago i co może się zdarzyć, kiedy interesy gangsterów wymagają politycznego poparcia.

Pewien republikanin, członek ciała ustawodawczego, wybrany z okręgu chicagoskiego, miał zamiar starać się o ponowny wybór. Złożył odpowiednią petycję i nie oczekiwał sprzeciwu. Pewnej nocy, na miesiąc przed nominacją, zatrzymali go dwaj uzbrojeni ludzie. Nie był to bynajmniej napad; nie zażądano pieniędzy. Powiedziano mu tylko, że musi zrzec się kandydatury. Odmówił. Przystawiono mu broń między żebra. Obstawał przy odmowie. Wtedy nastraszono go, że porwą jego małą córeczkę. Następnego dnia przesłał rezygnację do stanowego sekretarjatu.

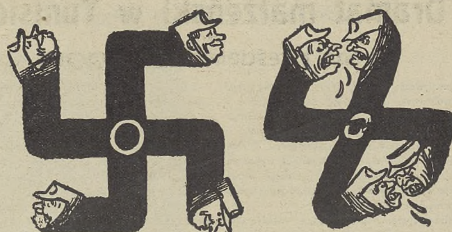
W pierwszych wyborach nominację z listy republikańskiej otrzymał notoryczny łajdak, jeden jakoby z głównych przywódców bandy Capone'a. Zdobył większość blisko 8000 głosów nad czterema zupełnie nieznanymi i steroryzowanymi przeciwnikami. Ile głosów z 12.000, które uzyskał, było uczciwie zdobytych, pozostaje domysłem. Należy przypuszczać, że bardzo niewiele.

W innym okręgu Chicago, republikańscy członkowie izby, którzy mieli wszelkie dane do ponownej nominacji, zostali pobici, a zwycięstwo odniósł człowiek, którego mieszkanie i personalja były nieznane. Na kilka tygodni przed pierwszemi wyborami wprowadził się do taniego hotelu w zachodniej części miasta, blisko granicy okręgu. Następnego dnia po wyborach znikł razem z walizą i nie można go było odnaleźć, kiedy trzeba było potwierdzić wybór w sądzie okręgowym.

Podobno w tym okręgu w dniu nominacji działy się osobliwe rzeczy. W trzech przynajmniej obwodach kandydat gangsterów otrzymywał każdy oddany głos, pomimo faktu, że przeciw niemu kandydował dotychczasowy członek izby i trzy inne osoby. W tych obwodach ogólny stosunek głosów wypadł jak 867 do zera. W jednym z nich dostał o 9 głosów więcej, niż wedle oficjalnej listy wyborczej można było otrzymać. Rozumie się, że przeciw takim cudom żaden kandydat, rozporządzający normalnemi metodami obliczeń, nie mógł walczyć.

Mówią, że cały okręg był pod władzą zorganizowanej bandy. Zdaje się, że urzędnicy pracujący przy wyborach byli w spisku albo steroryzowani przez bandytów.

Sąd, mimo to orzekł, że niektóre urny wyborcze trzeba będzie otworzyć i głosy jeszcze raz przeliczyć. *„New York Times" New York.*



Kłótnia w obozie swastyki *„Krasnaja Gazeta", Leningrad.*



Zniżki na kolejach trancuskich

Koleje Francuskie zapewniają turystom najdogodniejsze warunki przejazdu, udzielając ulg, które wydatnie obniżają koszty podróży, stanowiące najpoważniejszą pozycję w budżecie turysty. Zniżki te wahają się w granicach od 20% do 50%.

Poniżej podajemy w ogólnych zarysach rodzaje biletów ulgowych:

Karty miesięczne, dające prawo do nabywania biletów ze zniżką 50%, wydawane w ciągu całego roku, umożliwiają turystom, nie krępując ich określoną marszrutą, odbycie podróży po cenie zniżonej.

Bilety powrotne, dające 20 — 25% zniżki, korzystne dla osób udających się na krótki okres czasu do jakiejś miejscowości i powracających tą samą drogą.

Bilety zniżkowe, do uzdrowisk i miejscowości kąpielowych nadmorskich ze zniżką 20 — 30% przy przejazdach tam i spowrotem, wydawane w okresie letnim, z ważności 33 dni

Bilety zniżkowe dla rodzin podróżujących razem, przy przejazdach tam i spowrotem po nad 300 klm., które obniżają bardzo wydatnie koszty podróży.

Bilety okręgowe, wydawane w czasie od 1 czerwca do 30 września na okres 15 lub 30 dni, uprawniające posiadacza do odbycia nieograniczonej ilości przejazdów w obrębie danego okręgu.

Bilety zniżkowe dla grup, składających się conajmniej z 15 osób, ze zniżką 30%.

Pozatem udzielane są ulgi w okresie Targów i Wystaw.

Należy przytem zaznaczyć, że taryfa kolejowa francuska jest jedną z najtańszych w Europie.

Zwracać się do Przedstawicielstwa Kolei Francuskich w Polsce, Warszawa, Ossolińskich 4.



Redakcja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.
Administracja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.
Redaktor odpowiedzialny: Michał Sass. Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**
Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.